CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK III. WARSZAWA, 14 Sierpnia 1938 R. NR. 31-32

Trumna królewska

Nad aktualnymi zagadnieniami Polski Współczesnej chwilowo zatriumfowała sprawa sposobu i miejsca pogrzebu ostatniego z królów dawnej Rzeczypospolitej. W ciągu dwóch tygodni narosła w tej sprawie spora biblioteka polemiczna. Pomimo zastrzeżeń, jakie mogą się budzić w stosunku do prób nadawania sprawie charakteru sensacji dziennikarskiej, sam fakt żywego przejęcia się jej treścią należy uznać za zdrowy i pomyślny. Zainteresowania historyczne są w naszym społeczeństwie wysoce niedostateczne. Dobrze, że chociaż przy takiej sposobności dla tych zainteresowań otworzy się brama.

Początek sprawy przypominał nieco wybuch ostrego niezadowolenia, jaki towarzyszył w roku 1869 otwarciu trumny Kazimierza Wielkiego. Ten sam ton zarzutów zatajenia, konspiracyjności, pomniejszenia majestatu królewskiego przez skromność zewnętrznych ram prowizorycznej uroczystości. Jednak istota dyskusji szybko przybrała charakter zupełnie odmienny. Tam była wielkość bezsporna, uznana, związek z Wawelem najgłębszy, istotny — tutaj spór dotknął wszystkiego: rachunku zasługi i winy, tytułu formalnego i faktycznego, prawa do wdzięczności Narodu. W rezultacie stało się zupełnie inaczej, niżeli w tych wszystkich wypadkach przeszłości, gdy

...„prochom uroczyste sprawiano wywody,
i na ten krótki czas niechano kłótni
nad każdą z trumien, którą w imię zgody
wiedli na Wawel"...

W danym wypadku ożywczym i wartościowym momentem dyskusji może być właśnie brak łatwej zgody, próba sięgnięcia do głębi pojęcia odpowiedzialności jednostki przed historią, próba poddania osądzeniu nietylko jednostki, symbolizującej pewien okres, lecz również i zbiorowej odpowiedzialności za ostateczne rezultaty tego okresu.

Brak łatwej zgody — nie może oznaczać jednak zapalczywości sądów, odbierających zdolność dostrzegania złożoności zjawiska, posługujących się demagogicznym frazesem dla przeparcia jednostronności zdania. Można by zaryzykować twierdzenie, że w danym wypadku ważniejsze jest odnalezienie realnej prawdy jednego z najważniejszych okresów naszej historii, niżeli sam fakt miejsca ostatecznego spoczynku koronowanego przedstawiciela tego okresu. Istota zagadnienia leży nietyle w szybkim przesądzeniu sprawy Wołczyn — Wawel— czy Warszawa, ile w wyciągnięciu z toczącej się dyskusji najwięcej realnych wskazań co czynić trzeba i czego trzeba unikać, by nigdy więcej nie przeżywać tego rodzaju sytuacji historycznych, jak te, które zamknęły panowanie króla Stanisława w dawnej Rzeczypospolitej a dziś jeszcze — po latach stu czterdziestu — utrudniają zwłokom królewskim dostęp do grobów monarszych na Wawelu.

W toczącej się tak żywo dyskusji wprowadzono dotychczas z obu stron momenty polemiczne, zarówno natury formalnej, jak i zagadnienie wynikające z oceny roli i znaczenia Króla Stanisława w naszej historii. Rozpatrzymy pokrótce najważniejsze z podnoszonych dotychczas argumentów.

Niezbyt przekonywujące zdają nam się argumenty natury formalnej. Dają się one sprowadzić do następujących z dwóch stron przeciwstawianych sobie twierdzeń:

1. Groby wawelskie — to w gruncie rzeczy nie groby zasłużonych, to groby królewskie. Królowie reprezentują nie własną zasługę, lecz część historii państwa i narodu. Dyskusja nad zasługami i winami Stanisława Poniatowskiego jest więc bezprzedmiotowa.

2. Argument ten spotyka się z kontrargumentem natury czysto formalnej: umarł nie jako król Polski, lecz jako ten, który podpisał nietylko akty rozbiorów, ale i własną abdykację. Stąd automatyzm jego praw został przekreślony.

Nie będziemy zatrzymywali się dłużej nad drugim argumentem, natury negatywnej. Stanisław Poniatowski nie był złożony z tronu przez własny Naród, stąd wprowadzenie tego momentu do dyskusji nie wydaje się przekonywujące... Lecz i znaczenie pierwszego z tych argumentów jest osłabione przez fakt, że jednak w okresie niewoli Wawel poważnie zmienił uprzedni charakter. Tam gdzie, według słów Józefa Piłsudskiego, „głazy na naszym gościńcu stoją, świadcząc nieledwie chronologicznie przez imiona o naszej przeszłości", „między Władysławy i Zygmunty", „między Jany i Bolesławy" przyszli inni, idący „nie z imieniem, lecz z nazwiskiem, nazwiskami świadczący o wielkości pracy i wielkości ducha Polski". Z pojęciem grobów wawelskich związało się nietylko pojęcie historii, lecz i pojęcie wielkości, zasługi, królewskości nietylko imienia i formy, ale przede wszystkim ducha. Złożenie Zwłok na Wawelu można sobie dziś wyobrazić tylko w jednej formie: absolutnego hołdu, nie w atmosferze takiej chociażby dyskusji, jak ta, której świadkami jesteśmy obecnie, w której ludzie, głoszący konieczność porządkowego umieszczenia trumny ostatniego króla na Wawelu, równocześnie nad trumną tą wypowiadają sądy o ostrości niezmiernej, często nad miarę winy.

Istota zagadnienia sprowadza się więc nie do formalnego przesądzenia sprawy: przydzielenia królewskiego grobu przy akompaniamencie nawet ostrych i poniżających ocen, lecz do odpowiedzi na pytanie, czy w danym wypadku zachodzi istotnie możność oddania przywiezionym z obczyzny Zwłokom szczerego i uczciwego hołdu.

I tutaj nasuwa się konieczność analizy

zasług i winy jednostki, konieczność ostrożnego ferowania sądów zarówno o Człowieku, jak i o epoce, której Człowiek ten nadał swe imię. Nie łudźmy się, że dyskusja ta może być łatwo zakończona. Zarówno Człowiek, jak i epoka, nie odznaczali się prostolinijnością, jednolitością, zwartością dążeń i woli. W wielkim pomieszaniu zła i dobra, beztroskiej lekkomyślności i przejawów głębokiego rozumu państwowego, szlachetnych tęsknot i nikczemnych działań, postępującego odrodzenia moralnego obok wyrafinowanego zepsucia charakterów i obyczajów — epoka ta jest jednym z wyjątkowo skomplikowanych okresów naszej — i nie tylko naszej — historii. Sąd tutaj nie może być łatwy, przede wszystkim zaś nie może być dokonywany w uproszczeniu, na użytek określonej tezy, chociażby tezą tą miało być tylko szybkie ustalenie miejsca wiecznego spoczynku dla tułaczych dotychczas Zwłok głównego przedstawiciela epoki.

Zasługi Stanisława Poniatowskiego dla odrodzenia duchowego Polski wieku XVIII są wielkie i bezsporne.

Wchodząc na tron zastawał w upadku wszystko: siłę państwową, rozum i szlachetność społeczeństwa, kulturę i obyczaje. Przez lat sto Polska wyłączyła się z normalnego rozwoju ówczesnej Europy. Nie uczestniczyliśmy w żadnym przejawie ewolucji. Wiek, który dla innych był wiekiem intensywnego życia umysłowego, reorganizacji sił państwowych, rozwoju kulturalnego — myśmy zużyli tylko na wegetację. Byliśmy szczęśliwi, żeśmy znaleźli się poza historią.

Stanisław Poniatowski, syn jednego z nielicznych w ówczesnej Polsce rozumnych ojców, od pierwszych dni swego panowania reprezentował kierunek zasadniczego zupełnie w naszym życiu znaczenia, to jest wolę ponownego włączenia Polski w całość umysłowego i politycznego życia ówczesnej Europy. Wymagało to niezmiernego wysiłku. Zarówno warunki zewnętrzne, jak układ stosunków wewnętrznych, był wysoce niesprzyjający. Jedną z najpoważniejszych trudności był fakt, że w ówczesnym społeczeństwie polskim przejawiał się daleko posunięty rozdział pomiędzy uczciwością dążeń a rozumem. Nie brakło ludzi dobrej woli i szczerego patriotyzmu, lecz ci nie reprezentowali przeważnie nic więcej, ponad ślepe umiłowanie najszkodliwszych nawet tradycji. Niewielu było tych, którzy zdolni byli rozumieć, że patriotyzm to coś więcej, niżeli staranne kultywowanie wad narodowych. Wychować tych ludzi można było tylko przez ponowne nawiązanie bezpośredniej łączności kulturalnej Polski z zachodem. Rezultaty osiągnięte w tym zakresie były szybkie i wielkie. Stanowią one jeden z najistotniejszych tytułów do nadawania t. zw. „epoce stanisławowskiej" równorzędnego miana „epoki odrodzenia umysłowego i moralnego" Narodu, równocześnie stanowią najpoważniejszy bodaj z realnych tytułów zasługi państwowej samego Króla.

Najpowszechniej znane są zasługi Króla w dziedzinie odrodzenia i rozwoju sztuki i kultury. Tutaj najpełniej umiała wyrazić się wyrafinowana artystyczna indywidualność wychowanego na wzorach zasobniejszych, niestety, państw monarchy. Jednak na pięknym tle rezultatów osiągniętych w tej dziedzinie zarysowuje się poważna plama. Niesposób zapomnieć o ogromnej dysproporcji starań i środków, wkładanych skutecznie w rozwój piękna kosztem zaniedbania siły. Jest to jedna z najistotniejszych cech Stanisława Augusta, że umiał on z nadzwyczajną konsekwencją zrealizować plany artystyczne, nie okazując tej samej konsekwencji w realizowaniu planów politycznych.

Brak zdolności do realizowania tych ostatnich planów nie wynikał napewno z niedostatecznego wyrobienia w zakresie sposobu politycznego myślenia. Przeciwnie, analiza linii politycznej króla Stanisława prowadzi raczej do wniosku, że wykazywał on stale niepośledni realizm i zdolność przewidywania, cechy niezmiernie ważne. Brakło mu jednak czynnika niezbędnego dla istotnego osiągania rezultatów: wiary i charakteru. W rezultacie, mając wszelkie po temu dane, by być jednym z największych w Polsce królów, stał się królem najtragiczniejszym. Ogromowi zasług w zakresie umysłowego, a przez to i duchowego odrodzenia Narodu przeciwstawił ogrom win w zaniedbaniu podstawowych warunków wydobycia i rzucenia na szalę wypadków realnej siły Państwa.

Sąd historii — o ile odpowiedzialność przed historią nie ma być tylko frazesem— nie może przejść do porządku nad żadną z tych dwóch tak odrębnych i tak różnych w następstwa stron działalności nieszczęśliwego Króla. Nie ułatwiajmy sobie sytuacji przez szybkie ferowanie wyroków. Nie rośćmy pretensji do nieomylności. Miejmy poczucie, że w sprawie tej nie raz jeszcze sąd swój wypowiadać będzie przyszłość — przeszłości „korektorka wieczna".

Lecz jeśli chodzi o realne załatwienie sprawy, o decyzję najbliższej przyszłości, jakież tu nasuwają się wnioski?

W stosunku do beznamiętnego potraktowania sprawy zachodzą dziś już poważne trudności. Trudności te są w dużej mierze wynikiem sposobu, w jaki całość zagadnienia stanęła przed opinią publiczną. Nagłość i tajemniczość pojawienia się trumny królewskiej w Wołczynie, nie przygotowanie uprzednie miejsca, wyzyskanie w następstwie tych okoliczności dla celów sensacji dziennikarskiej — wszystko to sprawiło, że dzisiaj Wołczyn stał się w opinii publicznej czymś w rodzaju Berezy Kartuskiej, „miejscem odosobnienia". Tego rodzaju sytuacja musi drażnić i wywoływać namiętności. Na tym tle zrozumiałe stają się zastrzeżenia przeciwko decyzji, która w tych warunkach przybrała charakter posunięcia karnego, banicyjnego.

Szkoda, że tak się stało. Z pośród bowiem trzech dziś publicznie rozważanych ewentualności wybór Wołczyna był bodajże najsłuszniejszy, najgłębiej uzasadniony? Imię i rola historyczna ostatniego Króla będą w dalszym ciągu, zapewne przez wieki całe, przedmiotem sporów i ocen biegunowo przeciwnych, nieraz entuzjastycznych, nieraz bardzo ostrych. Jednakże może to dotyczyć tylko zakresu działalności, tylko imienia. Trumnie trzeba zapewnić przede wszystkim poszanowanie, spokój i ciszę. To jest podstawowy obowiązek żywych w stosunku do umarłych. To jest naturalny i minimalny obowiązek potomnych w stosunku do Człowieka, który kiedyś reprezentował zarówno zło jak dobro wielkiego okresu naszej historii.

Wybór Wołczyna powinien był mieć zewnętrzną oprawę, zadość czyniącą tym warunkom. Lecz równocześnie odpowiadał on bodajże najlepiej istocie dzisiejszego stosunku Narodu do roli historycznej ostatniego Króla, któremu nikt nie odmawia wielkich zasług, lecz z którego nikt nie może uczynić tego, czym nie był w istocie: bohatera i wodza na ciężkich drogach walki o byt i imię Polski.

W wytworzonej obecnie sytuacji nie chcemy w niczym przesądzać i uprzedzać przyszłych decyzji. Chcemy podkreślić tylko jedno. Decyzje te nie mogą być rezultatem hałaśliwej, ultimatywnej walki prasowej, swoistych, doraźnie organizowanych, plebiscytów. Muszą być wynikiem spokojnej, uprawnionej i odpowiedzialnej woli. Jedynie powołanym autorytetem do wydania sądu jest tutaj Prezydent Rzeczypospolitej jako naturalny Strażnik związanego z Trumną Królewską majestatu powagi Rzeczypospolitej.

W całej zaś tak żywo rozbudzonej dyskusji za rzecz najważniejszą uważalibyśmy, by nie ograniczała się tylko do zewnętrznego sporu o wybór takiego czy innego miejsca, lecz by sięgnęła do głębi zagadnienia, w poszukiwaniu przyczyn niedorośnięcia naszego w przeszłości do obrony i utrzymania niepodległego istnienia Państwa.

Sięgnięcie takie może nie być bez znaczenia i dla dzisiejszego okresu. Z każdej analizy przeszłości, szczególnie zaś z analizy okresu poprzedzającego upadek, zwykle wyłaniają się te same cienie: niezdolność zrganizowania istotnej siły Narodu, niebezpieczeństwo myślenia zbyt ciasnymi kategoriami pseudo - patriotyzmu, lęk przed śmiałością haseł i czynów, walka o utrzymanie takich czy innych przywilejów przeszłości dla pewnej części Narodu.

Strzec się należy, by cienie te nie odegrały nazbyt wielkiej roli w całości naszego dzisiejszego życia, tak jak odegrały ją w naszej historycznej przeszłości.

Władysław Mazurkiewicz

Anglicy i polityka angielska

W ciekawej i interesującej książce p. t. „Anglia we wszechświecie" Johannes Stoye wymienia następujące elementy, które złożyły się na uformowanie charakteru angielskiego: szczęśliwe pomieszanie pierwiastków etnicznych, bliskość morza i w ogóle położenie geograficzne, odosobnienie wyspiarskie, długa i ciężka walka przeciwko uciskowi zewnętrznemu i wreszcie idea purytańska, która widzi w narodzie angielskim naród wybrany.

Naród angielski jest wytworem pomieszania wszystkich ras, których stopa dosięgła ziem, przezeń zamieszkałych, — mówi Browning. A były to rasy liczne i różnorodne. W chwili gdy w VII-ym stuleciu przed Chrystusem Anglia zostaje opanowana przez Celtów, których niejedne cechy charakteru przetrwały do dnia dzisiejszego, kraj ten zamieszkiwały nieznane nam bliżej plemiona, osiadłe tam w czasach jeszcze przedhistorycznych. W 55 r. przed Chrystusem pojawiają się po raz pierwszy Rzymianie, w 100 lat potem Brytania staje się jedną z prowincji rzymskich, pozostając jako część składowa Imperium Rzymskiego w ciągu lat 300, przy czym wpływ kultury rzymskiej na nią jest ogromny.

W V w. po Chrystusie następuje podbój Anglii przez plemiona germańskie: Anglów, Sasów, Fryzów itd., a wraz z nimi przenikają do tego kraju zwyczaje i właściwości teutońskie. W końcu VIII w. nowi najeźdźcy z północy Wikingowie — Norwegowie i Duńczycy — stają się przez pewien okres czasu panami tej ziemi, dorzucając nowe pierwiastki etniczne do istniejącej już mieszaniny rasowej. Wreszcie w XI w. następuje ostatni a zarazem najważniejszy podbój Anglii przez Normandów, którzy wnoszą ze sobą język i pierwiastki kultury francuskiej; dopiero za czasów Edwarda I język angielski, będący do tego czasu językiem sfer ludowych, zdobywa sobie całkowite prawo obywatelstwa. Słusznie więc mówi Maurois, że charakterystycznym rysem rozwoju Anglii będzie kombinowanie elementów kultury teutońskiej z łacińską, aby wytworzyć z nich własny geniusz.

Trzy razy Anglia wchodzi w kontakt ze światem łacińskim: przez podbój rzymski, przez Chrześcijaństwo i przez Normandów. To też zbytnie wiązanie Anglii z kulturą i narodami germańskimi nie wydaje się uzasadnione, badania bowiem historii i charakteru angielskiego uwydatniają coraz bardziej jej związki i pokrewieństwa z Rzymem; coraz to więcej odkrywa się dróg jej rozwoju, mających swe źródła w Rzymie. Zwrócił na to uwagę już znakomity znawca prawa rzymskiego Ihering, który przeprowadził paralelę pomiędzy charakterami Anglików i Rzymian, dopatrując się w nich szeregu cech zbieżnych. Duch prawa rzymskiego przeniknął w większym stopniu do Anglii, niż do Niemiec i Francji. „Najważniejszy fakt, jaki można zaobserwować w stosunku do Francji i Anglii, pisze Maurois, nie w tym leży, że znajdujemy tam pomniki rzymskie, lecz że kraje te są pomnikami rzymskimi". Paul Morand w swojej książce „Londyn" nazywa to miasto kreacją czysto rzymską.

Niektóre cechy charakteru rzymskiego, jak wytrwałość i gotowość poświęcenia się jednostki dla dobra ogólnego, obok egoizmu, spotykamy również u Anglików. Podobnież zarówno naród rzymski jak i naród angielski cechuje głębokie przywiązanie do ustalonego porządku rzeczy i dopiero jeśli dalszy opór staje się niemożliwy i bezcelowy, gotowi są ustąpić i przyjąć porządek nowy.

O ile chodzi o inne wpływy etniczne to zdaniem Baldwina najeźdźcom skandynawskim zawdzięcza Anglia rozwój zmysłu morskiego i zamiłowanie do przygód. Od Germanów odziedziczył Anglik głęboką cześć dla zwierzchności, godzenie się z hierarchią, przy jednoczesnym istnieniu ducha buntowniczego wyrażającego się w niechęci do zginania karku i nienawiści do władzy narzuconej. Poczynając od XIII w. ustrój angielski oparty jest na zasadach wolnościowych i dobrowolnym uznaniu istniejącej władzy. Dziedzictwem germańskim jest także brutalność angielska:

Sytuacja geograficzna Anglii, w szczególności położenie wyspiarskie i bezpośredni kontakt z morzem, stanowiącym jedyne połączenie tego kraju z kontynentem europejskim, a z biegiem czasu z pozostałymi kontynentami, wywarły potężny wpływ na rozwój charakteru angielskiego i na całą historię tego kraju; zbliżyły do siebie zamieszkującą Wyspy Brytyjskie ludność, wyrobiły w niej silne poczucie odrębności w stosunku do ludności kontynentu, a przez to samo stworzyły ducha łączności i kooperacji, budząc zmysł organizacyjny, będący jedną z cech zasadniczych charakteru angielskiego.

Wielką rolę w ukształtowaniu się tego charakteru odegrały również ciężkie walki, jakie naród zamieszkujący Wyspy Brytyjskie zmuszony był prowadzić w ciągu szeregu wieków przeciwko ciągłym najazdom i połączonemu z nimi uciskowi. Poczucie idącego z zewnątrz niebezpieczeństwa, konieczność obrony, wspólne cierpienia wszystko to wpłynęło na rozwój ducha solidarności narodowej, spotęgowało wskazane już wyżej dążenie do łączności i kooperacji, wyrobiło w narodzie wytrwałość, hart, energię, silną wolę, bezwzględność i pragnienie wolności.

Dopiero po roku 1066, tj. po podboju normandzkim, powstaje stopniowo w Anglii świadomość bezpieczeństwa, które w zestawieniu z sytuacją innych krajów europejskich narażonych na ciągłe walki i pustoszenie swych posiadłości przez nieprzyjaciół powoduje wytworzenie się w psychice angielskiej poczucia wyższości, dumy i wielkiej pewności siebie.

W tę duszę angielską, która za czasów Elżbiety przedstawiała już syntezę cech właściwych charakterowi narodowemu Anglików, wsącza tryumfujący za czasów Cromvella purytanizm — z całą jego filozofią polityczno - religijną, upatrującą w narodzie angielskim naród wybrany, mający do spełnienia wielką misję — częściowo nowe pierwiastki, które, jak mówi Stoye, odegrały doniosłą rolę w ekspansji tego państwa, a które wyrażają się przedewszystkim w uświadomieniu sobie własnej wartości, wierze w swoje siły, wytrwałości, aktywności, samokontroli i dyscyplinie ducha i ciała.

Zdaniem Madariagi, który w słynnej swej książce „Anglicy, Francuzi i Hiszpanie" dał w formie porównawczej obraz psychiczny tych 3 narodów, cechą dominującą charakteru angielskiego jest wola, której naturalną reakcją jest czyn. Anglik jest człowiekiem czynu, podobnie jak Francuz jest człowiekiem myśli, a Hiszpan człowiekiem namiętności. Pogląd ten jest niewątpliwie słuszny; rozwijając i uzupełniając go możemy powiedzieć, że Anglik w swoim postępowaniu jest najbardziej realny, najbardziej bezpośrednio ujmujący życie, posiadający najwięcej instynktu życiowego, najbardziej zbliżony do natury, podchodzący do życia i do jego zjawisk w sposób szczególnie trzeźwy.

Anglik odnosi się nieufnie i niechętnie do idei abstrakcyjnej, do teorii oderwanych od życia, do ścisłych formułek prawnych, do zasad ogólnych, pragnących z góry uregulować pewne zjawiska życiowe, wziąć je niejako w karby. Stąd specyficzny stosunek do prawa i ustaw. Ustawy angielskie są nieraz pełne nieścisłości, niekonsekwencji, redakcja ich jest zbyt ogólnikowa, pełna luk, niesłychanie elastyczna. Wiadomo również, że życie konstytucyjne Anglii rozwijało się bez ustaw pisanych, że najważniejsze instytucje powstały drogą precedensu, drogą

ustalania się pewnych zwyczajów, mających swe źródło niekiedy w zwykłym przypadku, jak np. początek instytucji premiera, wywołany faktem nieznajomości przez Jerzego I języka angielskiego i niemożności przewodniczenia na Gabinecie Ministrów.

Posiadając w ogromnym stopniu poczucie tradycji, będąc przywiązanym do istniejących form i zwyczajów, Anglik, dzięki właśnie owemu trzeźwemu podejściu do życia, zdaje sobie sprawę, że idzie ono naprzód, że walczyć z jego wymogami, z tą falą, która uderza bezustannie i łamie przeszkody, nie podobna, że przeto nie jest rzeczą możliwą ująć je w ścisłe formułki prawne, lecz należy stworzyć możność przystosowania się do zachodzących zmian. Ta sama forma może z biegiem czasu zawierać inną treść i dlatego też musi być dostatecznie elastyczna, dostatecznie ogólnikowa; zmiany wszakże powinny następować stopniowo, drogą ewolucji, bez wstrząsów, w sposób, któryby godził konserwatyzm narodu angielskiego, jego przywiązanie do przeszłości, z wymogami życia i postępu. Brak ścisłych ustaw nie przeszkadza jednak narodowi angielskiemu posiadać w wysokim stopniu poczucie prawa, opartego na uzgodnionej milcząco woli powszechnej, przez co moc jego jest trwalsza aniżeli najszczegółowsze przepisy ustaw pisanych.

To życiowe podejście do zjawisk powoduje również skłonność do kompromisu, do godzenia sprzecznych interesów, z których jedne i drugie mają swe uzasadnienie życiowe. Z tego wypływa też znany utylitaryzm i zmysł praktyczny angielski, z tym wiąże się jasne zrozumienie swoich interesów i bezwzględność w ich obronie i dążeniu do celu.

Anglik lubi wysiłek fizyczny, który jest dlań potrzebą narówni z potrzebami fizjologicznymi, jak odżywianie się, sen, stąd jego zamiłowanie do sportów, które dają mu zadowolenie wewnętrzne, a jednocześnie skierowują energię narodu ku przełamywaniu zewnętrznych przeszkód, odwracając go od bezpłodnych i nie dających żadnych realnych korzyści spekulacji.

Mówiliśmy już wyżej, że jedną z cech charakterystycznych angielskich jest dążenie do kooperacji, do organizacji, przy czym odbywa się to bez specjalnego przymusu zewnętrznego, w sposób niejako spontaniczny. Całe życie angielskie jest oparte na jednej wielkiej współpracy, w której, w sposób niezmiernie harmonijny, każdy znajduje swoje miejsce. Na specjalną uwagę zasługuje tu parlamentaryzm angielski, w którym opozycja odgrywa rolę konstruktywną i faktycznie drogą krytyki współpracuje z całym systemem rządzenia, który dzisiaj opiera się na jednych ludziach, jutro na innych, zachowując mimo to daleko idącą ciągłość. Znany jest wzajemny stosunek do siebie Anglików zwalczających się politycznie, oparty na przeświadczeniu, iż ostateczne cele jednych i drugich są te same — wielkość Imperium Brytyjskiego, jedynie środki lub tempo może być różne. To życiowe podchodzenie do wszystkich problemów powoduje wszakże, że ludzie broniący pewnych poglądów mogą z biegiem czasu zmienić zdanie; stąd też przekonania polityczne w Anglii nie mają charakteru czegoś niezmiennego i widzimy przykłady, że Torysowie przeprowadzali reformy, inicjowane przez Wighów, które początkowo zwalczali; byłoby jednak błędem mówić tu o niestałości lub braku charakteru mężów politycznych angielskich, jest to tylko trzeźwy pogląd na życie i zrozumienie, że nie da się iść przeciwko fali, że to co dzisiaj jest dobre jutro może okazać się złem, bo taki jest naturalny proces życiowy, z którym trzeba się liczyć. To tłumaczy naprzykład, że zasadnicze reformy w życiu angielskim w XIX w., które przekształciły to państwo w demokrację (reformy wyborcze w latach 1832,1834, 1867) dokonane były w sposób pokojowy, drogą ewolucji, bez wstrząsów rewolucyjnych, jak to się działo w innych krajach, przez ludzi, którzy faktycznie zrzekali się swego uprzywilejowanego stanowiska. Podobnież tak samo stopniowo, poczynając od połowy XIX w. aż do Statutu Westminsterskiego z 1931 r., zostało dokonane przekształcenie Anglii w Imperium Brytyjskie złożone ze Zjednoczonego Królestwa i 6 Dominiów, z oparciem ich na zasadach całkowitej równowagi i samodzielności, przy czym przynależność każdego z nich do Imperium Brytyjskiego jest zależna całkowicie od jego dobrej woli. Właśnie istnienie tego Imperium w jego nowoczesnej formie, przy pewnym braku jasnych i precyzyjnych określeń, co nie przeszkadza, że działa ono w sposób niezmiernie harmonijny, jest dowodem owej niezwykłej umiejętności Anglików przystosowania się do wymogów życiowych i głęboko tkwiącego w ich psychice poczucia spójni organizacyjnej. Pomimo wszystkich pozorów wewnętrzna więź poszczególnych części Imperium jest dzisiaj może głębsza, niż była przed wojną, a gwarancją tej spójni jest poczucie łączności tkwiące w duszy każdego obywatela, które każe mu dostosować swoje postępowanie przy całkowitym uwzględnieniu interesów tego organizmu politycznego (dominium), którego jest członkiem, do wspólnego celu, jakim jest zachowanie jedności imperialnej.

Bezpośredni stosunek do życia, praktyczne podejście do jego zagadnień powoduje również, że Anglik może łatwiej obejść się bez wierzenia w coś, niż bez pokładania wiary w kogoś. Stąd przewaga osobistości nad doktryną i ogromna władza, jaką posiadają kierownicy nawy państwowej, cieszący się w danym momencie zaufaniem większości narodu (Palmerston, Gladston, Disraeli, Lloyd George itd).

Anglik zdaje sobie sprawę, iż w ostatecznym obrachunku najważniejszą jest nie tyle koncepcja, pogląd teoretyczny na tę czy inną sprawę, ale kto i jak będzie tę koncepcję realizował; ponadto okoliczności mogą zmusić danego męża stanu do zmiany swego stanowiska, chodzi więc przede wszystkim o stopień zaufania do niego, o przeświadczenie, że jest to w danym momencie „the rigth man on the rigt place. To też fakty, że w okresie kilku lat ogromna większość wyborców przerzucała się od laborystów do konserwatystów i odwrotnie nie świadczy bynajmniej o kapryśności opinii publicznej angielskiej, o niestałości poglądów, są po prostu stwierdzeniem niezadowolenia z danych rządów, bez wchodzenia w szczegóły odnośnie tych czy innych poglądów partii będącej u steru; z drugiej zaś strony są aktem zaufania w stosunku do dotychczasowej opozycji i jej liderów, również bez analizowania nieraz poglądów, jakie ta partia reprezentuje.

Wreszcie owa przystosowalność do wymogów życia sprawia, iż postępowanie Anglików nosi często cechy alogiczne. Linia tego postępowania nie jest prosta, lecz kręcona; Anglik rzadko kiedy działa wg ściśle określonego planu, nie ma on koncepcji na dłuższą metę prócz jasnej świadomości swych żywotnych interesów, działa z dnia na dzień, zależnie od tego jak życie się ułoży; taką właśnie jest polityka zagraniczna Anglii.

Oczywiście istnieją pewne wytyczne polityki angielskiej oparte na jej żywotnych interesach, które od wieków stanowią linię przewodnią w jej postępowaniu, a więc — jeśli chodzi o Europę — bezpieczeństwo Wysp Brytyjskich i utrzymanie pokoju na kontynencie, pozwalające temu nawskroś handlowemu krajowi na spokojny niezagrożony działaniami wojennymi rozwój handlu międzynarodowego. Bezpieczeństwo Anglii może być jednak zagrożone przez stworzenie hegemonii jednego z państw europejskich, stąd dążenie do równowagi politycznej mocarstw, które datuje się jeszcze z czasów Henryka VIII i popieranie koalicji przeciwko najsilniejszemu państwu, grożącemu hegemonią w Europie. Z zasady bezpieczeństwa wypływa też konieczność utrzymania niezawisłej Belgii i Holandii i niedopuszczenie do owładnięcia tymi krajami.

O ile chodzi o całość Imperium Brytyjskiego, to wytycznymi polityki angielskiej będą: utrzymanie łączności z dominiami, w szczególności zaś z Indiami, drogą morską i powietrzną, stąd nieodzowna konieczność zapewnienia sobie bezpieczeństwa na Morzu Śródziemnym i niedopuszczenie do opanowania tego morza przez któreś z mocarstw europejskich (utrzymanie równowagi między Francją i Włochami); i co najważniejsze: ochrona posiadłości Oceanu Indyjskiego, który po wojnie stał się faktycznie wewnętrznym morzem angielskim; stąd stosunek do Rosji i Japonii.

Niechęć do robienia planów na daleką metę jest powodem, że Anglia na ogół nie prowadzi polityki sojuszów. Prawda, że w r. 1902 zawarła sojusz z Japonią, ale miał on charakter przejściowy. Również fakt doprowadzenia do trójporozumienia i do wspólnej wojny z państwami centralnymi nie przeczy tej linii postępowania. Nie był to sojusz, lecz zgodna z tradycjami angielska polityka okrążenia i poparcia koalicji przeciwko Niemcom, które stały się

pierwszą potęgą kontynentalną, groźną dla pokoju światowego, w szczególności, wskutek ogromnej rozbudowy floty, zagrażającą bezpieczeństwu Anglii.

Istniejący obecnie bardzo bliski stosunek z Francją jest niewątpliwie zbliżony do sojuszu, ale nim nie jest. Trwałość jego i znaczenie polega na tym, że polityka Anglii jeszcze od czasów Disraelego wiąże się ściśle z Francją, przyjaźń ta, jeżeli pominąć pewien okres mniej lub więcej silnych tarć na gruncie polityki afrykańskiej (Faszoda), utrzymuje się bez przerwy, i jeżeli w r. 1882 jednym z jej motywów było, że wojna z Francją byłaby bardzo kosztowna,to w chwili obecnej zagrożenie Francji, w świetle oświadczenia Baldwina co do granicy angielskiej nad Renem oraz wobec rozwoju lotnictwa, godziłoby bezpośrednio w bezpieczeństwo Anglii i zmusiłoby ją do czynego wystąpienia.

Trzeźwość, realizm i bezwzględność w polityce angielskiej mieszczą się w powiedzeniu Palmerstona, iż Anglia nie zna ani przyjaźni ani nieprzyjaźni tylko swoje nienaruszone interesy. Polityka sentymentu obca jest temu państwu; prawda, mamy przykłady, gdy opinia publiczna angielska wzięła w sposób gorący stronę prześladowanych, tak było podczas powstania polskiego w 1863 r., tak było też gdy Gladstone, będący podówczas w opozycji, potrafił poruszyć tę opinię przeciwko Turcji w obronie uciśnionych narodów bałkańskich, ale w jednym i w drugim wypadku chłodna racja stanu angielska nie dała się zepchnąć z drogi, jaką w danym momencie dyktowały jej okoliczności i jak w sprawie polskiej poprzestano na wymianie niemiłych zresztą dla Anglii not, tak w sprawie bałkańskiej zawrócono szybko do polityki popierania Turcji.

W ciągu nieomal całego XIX w., poczynając od Kongresu Wiedeńskiego, polityka Anglii skierowana była przeciwko Rosji, co nie przeszkadza jej w początku XX w., wobec rosnącej wciąż potęgi niemieckiej, dokonać zasadniczej zmiany tej polityki i przez zawarcie układów z r. 1907 przygotować grunt pod koalicję antyniemiecką. Podobnież trwający całe wieki antagonizm angielsko - francuski przeobraża się w ciągu XIX i XX w. w daleko idącą przyjaźń, równającą się nieomal sojuszowi. Wpływa na to między innymi zaprowadzenie żeglugi parowej, które, jak się wyraził Palmerston w 1848 r., przeobraziło kanał la Manche w rzekę, dalej wzgląd na rosnącą potęgę Niemiec, a ostatnio wreszcie wynalezienie samolotu, będące, że przytoczę tu słowa Maurois: „dla Anglii wydarzeniem historycznym najważniejszym i najniebezpieczniejszym w naszych czasach".

Tak samo pomimo oburzenia wywołanego wojną abisyńską i chwilowego poderwania prestiżu angielskiego wskutek druzgocącego zwycięstwa Mussoliniego, Anglia szybko przystosowuje się do nowej sytuacji i dochodzi do porozumienia z Włochami, uprzedzając w tym Francję.

A stanowisko Anglii w stosunku do Niemiec nieomal następnego dnia po ukończeniu wojny — było wszak niczym więcej jak powtórzeniem polityki angielskiej po Kongresie Wiedeńskim w stosunku do Francji. I tu i tam Anglia pragnie nie dopuścić do hegemonii najsilniejszego w danym momencie z państw europejskich, w pierwszym wypadku Rosji, w drugim Francji i popiera stronę zwyciężoną, przyczyniając się do odbudowy jej potęgi.

Zgodnie z właściwą sobie cechą charakteru Anglik rozpatruje wszystkie kwestie bez jakiegokolwiek parti pris, przywiązując znaczenie jedynie do rezultatu praktycznego; nie uznaje też aksjomatów w polityce, widzi tylko swoje żywotne interesy. To uwydatnia się między innymi w stosunku do t. zw. polityki „splendid isolation", która, zdawało się, była czymś stałym, związanym z naturą angielską, a która jednak z końcem XIX i początkiem XX w. uległa stopniowej zmianie pod wpływem okoliczności zewnętrznych, co nie oznacza wszakże ażeby miała być raz na zawsze zaniechana.

Praktyczny zmysł polityki angielskiej, wolne od sentymentów podejście do zjawisk, czyni, iż Anglik nie detonuje się chwilowymi niepowodzeniami, ani też nie daje się oszołomić lub uśpić rzekomymi powodzeniami, ale przeciwnie wykorzystuje nabyte doświadczenie i stara się naprawić popełnione błędy, ewentualnie wypełnić ujawnione luki.

Kilkakrotnie w ciągu kilkudziesięciu lat Anglia, wskutek niedostatecznego przygotowania zbrojnego, nie mogła postawić na szali całej swej potęgi, ryzykując ewentualnie konflikt zbrojny, tak było m. in. podczas wojny francusko - pruskiej, tak było podczas rozgrywek na Bałkanach i w Marokku w latach 1908 — 1910, tak było wreszcie ostatnio podczas wojny abisyńskiej. W tych wypadkach Anglik woli zacisnąć zęby i wziąć się z całą energią do wyrównania braków, nie pozwalających mu na razie do narzucenia swej roli przeciwnikom. I oto widzimy jak w r. 1909 Lloyd George przeprowadza wielką reformę finansową, połączoną z reformą Izby Lordów, ażeby zdobyć odpowiednie fundusze na flotę i inne zbrojenia, co pozwala Anglii wystąpić zbrojnie w r. 1914. Podobnież obecnie znajduje się w trakcie realizacji wielki program zbrojeń angielskich.

Z drugiej strony niepowodzenie, jakie spotkało Anglików przez utratę w r. 1783 kolonii amerykańskich, spowodowane w znacznym stopniu fałszywą polityką kolonialną, wykorzystane jest przez nich w sensie zmiany dotychczasowej polityki. Zmiana ta okazała się ze wszech miar korzystna i przyczyniła się do położenia podwalin pod dzisiejsze olbrzymie Imperium. Podobnież mądre postępowanie Anglików w stosunku do krajów tworzących unię południowo-afrykańską po wojnie transwalskiej, bez oglądania się na ofiary i przykrości, jakie ta wojna pociągnęła, doprowadziło do faktu lojalnego ich udziału w wielkiej wojnie po stronie angielskiej co przynosi niewątpliwy zaszczyt polityce tego kraju.

Jako jeden z przykładów owej polityki, liczącej się z sytuacją i nie obawiającej się umniejszenia swego prestiżu wskutek dokonanych ustępstw czy nawet zawrócenia z obranej początkowo drogi, przytoczyć można stosunek Anglii do Persji po wielkiej wojnie, gdy na skutek przewrotu w r. 1925 zmuszona była do zrzeczenia się bardzo korzystnych dla siebie układów zawartych w r. 1919, czym jednak w dalszej konsekwencji wzmocniła tylko swoje wpływy w tym kraju.

Nie da się zaprzeczyć, że pewien konserwatyzm myśli angielskiej i szukanie natchnienia w doświadczeniu powoduje niekiedy, iż polityka angielska nie dość szybko chwyta pewne zjawiska i zmiany i do pewnego stopnia daje się zaskoczyć — tak np. Anglia nie dość szybko zdała sobie sprawę z powstania w wyniku zjednoczenia Niemiec i klęski zadanej Francji nowej wielkiej potęgi europejskiej, w stosunku do której zajmowała przez dłuższy czas stanowisko bierne; podobnież po wielkiej wojnie Anglia nie zdała sobie sprawy, iż odbudowa potęgi niemieckiej pójdzie w tak szybkim tempie i że moment hegemonii francuskiej na kontynencie będzie tak krótkotrwały. Również w stosunku do Polski Anglia dopiero w ostatnich latach zaczęła zdawać sobie sprawę ze znaczenia tego państwa w polityce europejskiej, z jego wielkiej roli w utrzymaniu pokoju; stąd początkowa niechęć do Polski, granicząca z lekceważeniem, stąd stanowisko Anglii w wojnie polsko - sowieckiej. Niekiedy jednak myśl angielska mimo swego konserwatyzmu sięga daleko i przewiduje rozwój wypadków — tak było w stosunku do ruchu nacjonalistycznego w XIX w. w Europie i emancypacji krajów Ameryki Południowej, które spotkały się z poparciem ze strony Anglii, zdającej sobie sprawę z ich siły i możności realizacyjnej.

Cechuje również politykę angielską chwilami chwiejność wywołana pragnieniem uchwycenia właściwej linii rozwoju życia międzynarodowego; życie wszak jest skomplikowane i nie jest rzeczą łatwą ocenić w każdej chwili wartość poszczególnych wpływających na jego rozwój elementów.

Z drugiej wszakże strony tam gdzie chodzi o wielkie cele polityki angielskiej jest ona nieugięta i konsekwentna. Widzimy jak stopniowo w ciągu wieków zdobywa panowanie nad morzami i staje się olbrzymią potęgą kolonialną, usuwając jedne po drugich piętrzące się na jej drodze przeszkody w postaci potężnych w swoim czasie państw morskich. Tak w r. 1588 przez zniszczenie Wielkiej Armady kładzie faktycznie kres rozwojowi potęgi morskiej Hiszpanii; po długotrwałych wojnach w ciągu XVIII w. usuwa na plan dalszy Francję, zagarniając większość jej posiadłości kolonialnych, przede wszystkim Kanadę i Indie; dalej rozprawia się z osłabioną już Holandią, której zresztą dla pozyskania jej sobie w swej dalszej polityce kolonialnej zwraca więk-

szość utraconych posiadłości zamorskich. Wreszcie ostatnio, czując się zagrożoną wskutek ogromnego rozbudowania sił morskich i kolosalnego rozwoju handlowego Niemiec, stwarza koalicję przeciwko temu państwu i w rezultacie odniesionego zwycięstwa zmusza je do zniszczenia całej swej floty.

Cała jednak wyżej wskazana polityka zagraniczna Anglii mogła i może być prowadzona w taki sposób, dlatego przede wszystkim, że stoi za nią cały naród, który, mimo różnic, posiada wyjątkowe poczucie jedności i dla którego argument racji stanu jest zawsze decydujący.

Jak mówi Boutmy „nigdzie rząd centralny nie ukazuje organizacji tak silnej od połowy już wieków średnich, nigdzie nie posiada jaśniejszej i czystszej świadomości charakteru narodowego swego posłannictwa". Ta solidarność narodowa objawia się szczególnie podczas wojny, byliśmy jej świadkami w czasie wielkiej wojny, ale tak samo występowała ona już za czasów Pitta podczas wojny z Francją o władanie koloniami. Ponadto pomimo podziału na klasy czy warstwy ludzie poszczególnych warstw w Anglii są znacznie bardziej do siebie zbliżeni niż w innych narodach, co stwarza właśnie ową jedność psychiczną, będącą ostoją potęgi angielskiej. Tak najbardziej radykalny robotnik angielski nie tylko godzi się, ale uważa za rzecz zupełnie naturalną istnienie ustroju monarchistycznego. Podobnie podczas rewolucji francuskiej robotnicy angielscy, narówni z innymi klasami, zajęli stanowisko nieprzychylne dla rewolucjonistów. Poczucie hierarchii, przywiązanie do tradycji i konserwatyzm narodu angielskiego stanowi wielką siłę, która— nie posługując się formułkami totalnymi— w rzeczywistości czyni z Wielkiej Brytanii organizm bardziej zwarty i bardziej jednolity aniżeli organizmy oparte na ustroju totalnym, których trwałość wobec dużej dozy przymusu psychicznego, od czego właśnie wolną jest Anglia, jest conajmniej wątpliwa. Siła ta również pozwala Anglii wchłaniać nowe idee i zmiany, może powolnej ale głębiej, przez co raz przyswojone stają się dziedzictwem narodowym, zapewniającym państwu stały wypływający z doświadczenia życiowego i do życia przystosowany postęp.

Władysław Oszelda

Propaganda i szczerość

Rzecz ciekawa, raczej smutna, w każdym razie godna wnikliwszej analizy, tym bardziej, że częstotliwość jej występowania w naszym życiu państwowym i społecznym jest wprost zatrważająca. Brak nam materiału, brak zdolności do wytwarzania jasnego i realnego obrazu rzeczywistości. Systematycznie stoimy wobec faktu zafałszowania stanu faktycznego. Przeważnie płynie to z niechęci przyznania, że na odcinku bezpośredniej pracy, na odcinku najlepiej znanym, dzieje się niedobrze. Nie namawiam nikogo do pesymizmu, wprost przeciwnie jestem zwolennikiem entuzjazmu życia, ale w pracy konkretnej nie wolno operować ani pesymizmem ani optymizmem — trzeba operować faktami, które — bez żadnej przymieszki propagandowej — najlepiej mówić będą za siebie.

Nie brak nam ludzi, którzy posiadają dużą dozę samokrytycyzmu, zmysł rzetelnej obserwacji, umysł analityczny, stwarzają oni sobie łatwo w swej świadomości obraz realnej, jak najrealniejszej rzeczywistości. Ale jakże często tym właśnie ludziom brak dostatecznej odwagi cywilnej wypowiadania szczerego sądu wobec tych, którzy posiadają — choćby w ograniczonym stopniu — możność ingerencji, możność niwelowania nierówności, prostowania dróg krętych, oczyszczania ich z błota i brudu.

Urzędnik państwowy czy samorządowy, pracownik instytucji społecznej, członek organizacji takiej lub innej, posiadają często szkodliwy nałóg wybielania faktów wobec przełożonych, przedstawiania w sprawozdaniach obrazów podmalowanych dużą ilością nieszczerego optymizmu, co w sumie powoduje wypaczenie stanu faktycznego, zredukowanie obrazu ujemnych stron do minimum przy sowitym naddatku do pozycyj dodatnich. W rezultacie otrzymuje się fałszywą podstawę wszelkich analiz. Retusz, drobny w poszczególnych wypadkach, sumuje się i urasta, prowadząc do poważnego wypaczenia obrazu.

Czasem w ten sposób powstają legendy „wspaniałych dorobków", czy „zasług". Zdarzają się jaskrawe nieporozumienia. Nie tak dawno jeden z wybitnych profesorów uniwersytetu, otrzymawszy odznaczenie za „działalność wieloletnią dla dobra emigracji", ocknąwszy się z osłupienia, odesłał czym prędzej order; emigracją nigdy się nie interesował.

Ale nie o tego rodzaju oderwane wypadki chodzi. Zagadnienie ma swoje ważniejsze strony. Jeśli bowiem organy inspiracyjne państwowe i społeczne nie będą posiadały regularnego krwiobiegu, jeśli ich organiczne działanie będzie podlegać nieharmonijnemu zakłócaniu przez zniekształcone informacje, jakiż wniosek z tego anormalnego stanu wypływać może? Diagnoza oparta na tych przesłankach będzie mylną, wnioski praktyczne — fałszywe. Gdyby lekarz ciężko choremu „dawał folgę" przez wmawianie otoczeniu, że kandydat na ozdrowieńca jest zdrów jak ryba—popełniłby zwykłe przestępstwo. Gdy czyta się sprawozdania urzędów, organizacyj, instytutów, instytucyj wszelkiego typu i rodzaju i porównuje je „na oko" ze stanem faktycznym—nasuwa się często podejrzenie, że teoria daleko odbiega od praktyki! Jeśli wewnątrz tych organów porozumienie między pracownikami i zwierzchnictwem odbywa się na tej samej platformie, biada sprawie, której się służy.

Jeśli chodzi o szerokie rzesze społeczeństwa, zrozumiałe, że czasem, dla „podtrzymania ducha", trzeba posługiwać się t. zw. „propagandą". Ale tylko czasem! Nie zapominajmy bowiem o tym, że propaganda jest poniekąd pewnego rodzaju jednostronną dyktaturą dla społecznego intelektu, zwłaszcza w odniesieniu do jednostek słabszych i mniej zorjentowanych. Wokół każdej propagandowej imprezy zbyt często widnieją słowa „przełom", „kraniec epoki", co najmniej już „chwila wyjątkowa". Bity bezceremonialnie obuchem tych historycznych ważności szary obywatel nie wie co naprawdę myśleć. Najczęściej nie wierzy nikomu — trwa po dawnemu w obojętności. To są ujemne skutki nieprzemyślanej, nieusystematyzowanej propagandy. Społeczeństwa nie można nadmiernie karmić gotowymi formułkami, nieuchwytnymi hasłami. Społeczeństwo należy wychowywać, dając mu możność wczuwania się w stan faktyczny, choćby ten był smutny. Społeczeństwo bowiem musi się czuć realnie współodpowiedzialne za losy państwa, za losy narodu. Odpowiedzialność tę można pogłębić tylko za pomocą haseł rzeczywistych, nie narkotyków. Nadmierna i niedość szczera propaganda prowadzi na manowce, z ludzi czujących czyni automaty. Propaganda winna posłusznie podporządkować się doktrynie stokroć ważniejszej: wychowaniu.

Urabiać obywatela w duchu odpowiedzialności za losy państwa i narodu jest najwyższym celem wychowania państwowego i narodowego. Nie może jednak wystarczyć tu, że propaganda podsunie mu gotową formułę „Co myśleć". Trzeba dbać również o zachowanie istotnej samodzielności jego myślenia.

Politykierstwo, hiperkrytycyzm, mylna interpretacja demokratycznej wolności, niewiara w realną wartość słowa — wszystko to rozsadza nasze życie kulturalne, utrudniając zlanie wysiłków, wytwarzając fikcyjne i nieistotne różnice, oparte na osobistych sympatiach i antypatiach. Polityka

prowadzona pod tego rodzaju auspicjami przestaje być nawet polityką, staje się rzemiosłem, sztuką dla sztuki, brak jej rzetelności, brak głębszej myśli i świadomego celu.

Linia najmniejszego oporu, posługiwanie się retuszem faktów z dopasowaniem do własnych potrzeb, przymykanie oczu na rzeczy przykre i przechodzenie nad nimi do porządku dziennego, zapominanie o szerokich rzeszach społeczeństwa przez posługiwanie się względem nich tylko mechaniczną propagandą, przy zaniedbaniu momentów wychowawczych, to zjawiska, które nie mogą wróżyć nic dobrego. W naszej pracy tak społecznej jak i państwowej musimy iść po linii największego oporu, zrezygnować z sztucznych efektów. Podstawą naszej propagandy musi być rzetelne poszanowanie prawdy. Pracownika społecznego, urzędnika należy nauczyć szacunku dla prawdy i to poszanowanie stawiać wyżej ponad cel ściśle propagandowy. Drogi tego rodzaju mogą się okazać stromymi i przykrymi, lecz tylko one prowadzić mogą naprawdę do jedności i wielkości.

Olgierd Nowina

Kmiece zagrody dziedziczne w Niemczech

Jedną z najczęściej u nas wymienianych reform rolnych przeprowadzonych przez narodowych socjalistów, jest instytucja zagród dziedzicznych. Polega ona na tym, że gospodarstwa średnie zostały zamienione na quasi fidei komisy, stanowiące, tak jak starogermańskie gospodarstwa szczepowe, własność nie jednostki, ale własność narodu, przechodzącą w całości z pokolenia na pokolenie.

Gospodarstwo będące zagrodą dziedziczną jest wyłączone z obrotu prawnego, nie może być obciążone pożyczką, nie ulega zastawowi ani sekwestrowi i nie może być ani w całości ani częściowo sprzedane. Do zagrody dziedzicznej zalicza się: ziemię, zabudowania gospodarskie i mieszkalne, inwentarz żywy i martwy, paszę nasiona, żywność dla utrzymania mieszkańców zagrody, meble, pościel, pamiątki rodzinne, oraz wszelkie prawa przywiązane do danej nieruchomości.

Zagroda dziedziczna przechodzi po śmierci właściciela w całości na jednego dziedzica (jest nim w zasadzie najmłodszy syn zmarłego). Prawa pozostałych spadkobierców ograniczają się do pozostałego poza zagrodą majątku spadkodawcy (np. nieruchomość miejska, oszczędności bankowe itd.) oprócz tego dzieciom zmarłego przysługuje prawo do otrzymania na koszt zagrody odpowiedniego wykształcenia zawodowego, oraz prawo powrotu do zagrody, jeśli bez własnej winy znajdą się w ciężkiem położeniu materialnym.

Porządek dziedziczenia jest bardzo dokładnie przewidziany. Wola spadkodawcy nie odgrywa przy dziedziczeniu zagrody prawie żadnej roli. Kolejność dziedziczenia jest następująca:

1) Synowie spadkodawcy (w zasadzie najmłodszy) i ich męscy zstępni.
2) Ojciec spadkodawcy.
3) Bracia spadkodawcy i ich męscy zstępni.
4) Córki spadkodawcy i ich synowie.
5) Siostry spadkodawcy i ich synowie.
6) Pozostali żeńscy zstępni spadkodawcy.

Cechą charakterystyczną jest, jak widzimy, wyłączenie żony i matki spadkodawcy, oraz wyraźne upośledzenie córek i sióstr spadkodawcy.

Zagrodą dziedziczną gospodarstwo jest wówczas, gdy zarówno samo gospodarstwo, jak i jego właściciel, odpowiadają pewnym ustawowo przewidzianym warunkom, mianowicie:

1) Obszar zagrody musi wystarczać do wyżywienia rodziny, a nie przekraczać 125 ha. Jako dolną granicę przyjęto $7^1/_2$ ha, przy czym jednak w zależności od warunków miejscowych zarówno dolna jak i górna granica mogą być przekraczane.

2) Właściciel gospodarstwa winien być aryjczykiem, obywatelem niemieckim, być wolnym od zgubnych nałogów, być zdolnym do prowadzenia gospodarstwa.

Jeżeli zarówno gospodarstwo jak i jego właściciel odpowiadają warunkom, wtenczas gospodarstwo jest zagrodą dziedziczną, a właściciel jego otrzymuje zaszczytne miano kmiecia (Bauer). Gospodarstwa nie będące zagrodami dziedzicznymi noszą zaś nazwę „gospodarstw rolnych", a właściciele ich nazywają się „rolnikami" *Landwirtschaft i Landwirt)*.

Utrata kwalifikacji zagrodowych przez gospodarstwo, wobec zakazu sprzedaży ziemi, nie może, rzecz prosta, mieć miejsca; można natomiast przypuścić utratę kwalifikacji kmiecych przez właściciela (np. zaniedbanie gospodarstwa, kara sądowa, popadnięcie w pijaństwo). W takim wypadku gospodarstwo nie przestaje być zagrodą dziedziczną, a tylko właściciel jego przestaje być kmieciem i traci prawo do zagrody, która przechodzi na jego spadkobierców.

Jak widzimy z powyższego, prawa właściciela zagrody dziedzicznej uległy tak silnemu ograniczeniu: niemożność sprzedaży, obciążenia hipotecznego wreszcie ewentualność usunięcia z zagrody — iż stał się on nie tyle właścicielem ile dzierżycielem zagrody, jej włodarzem. Nic więc dziwnego, że w masach ludności wiejskiej wprowadzenie zagród dziedzicznych entuzjazmu nie wywołało.

Należy sobie zatem zadać pytanie, jakie cele przeświecały twórcom tej reformy, skoro o zjednaniu przez nią mas wiejskich dla reżymu nie może być mowy. Jasną odpowiedź znajdziemy we wstępie do ustawy o zagrodzie dziedzicznej *(Erbhofsgesetz)* z 29 września 1933 roku, który mówi, iż celem rządu jest utrzymanie warstwy kmiecej jako podstawy *eugenicznej* narodu niemieckiego. Główną rolę odegrały tu zatem przyczyny natury demograficznej. Dążenie rządu do utrzymania gospodarstw średnich i zabezpieczenia ich przed rozdrobnieniem wyjaśnia się tym, iż w Niemczech najwyższą rozrodczością cieszy się ludność wiejska a wśród niej klasa właścicieli gospodarstw średnich. Nic więc dziwnego że rząd narodowo - socjalistyczny, który wszelkimi sposobami dąży do podniesienia przyrostu naturalnego, nie zaniedbał użycia odpowiednich środków dla utrzymania tej kategorii ludności, która cieszy się najwyższą rozrodczością. Ustawę o zagrodzie dziedzicznej należy traktować zatem jako wyraz tendencji narodowego socjalizmu do podniesienia przyrostu naturalnego Niemiec — względy natury gospodarczej natomiast już tylko drugorzędną odgrywają tu rolę.

Jeśli chodzi o skutki wywołane przez reformę powyższą, to należy przedewszystkiem podnieść fakt obniżenia się do minimum poprzednio dość wysokiej liczby licytacji gospodarstw średniej wielkości. Jest to zjawisko niewątpliwie dodatnie, jednakże przy jego ocenie nie należy zapominać, iż jest ono wynikiem mechanicznego działania postanowień ustawy (zakaz sprzedaży przymusowej), nie wyrazem poprawy położenia gospodarczego tej kategorii własności. Jeśli zaś chodzi o głębsze i istotne skutki tej reformy to dla przybliżenia się do właściwej oceny należałoby odpowiedzieć przynajmniej na dwa zasadnicze pytania:

Jaki będzie wpływ tej reformy na poziom kultury rolnej?

Jaki będzie jej wpływ na kształtowanie się przyrostu naturalnego u objętej nią ludności?

W odniesieniu do pierwszego pytania przypominamy, że instytucja zagród dziedzicznych stanowi w istocie swojej nader daleko idące ograniczenie prawa własności. Właściciel gospodarstwa rolnego przestał być w gruncie rzeczy właścicielem, stał się właściwie tylko użytkownikiem. Ograniczenie praw właściciela odbija się zazwyczaj ujemnie na jego przedsiębiorczości i chęci do pracy. Fakt, że chodzi tu o własność rodową nie zdaje się stanowić dostatecznego bodźca. Biorąc przykład ze stosunków wśród wielkiej własności, przypominamy, iż fidei — komisy nie odznaczały się nigdy wysokim poziomem gospodarki rolnej. Nie zdaje się również, by rolę zachęty do pracy mogły spełnić przewidziane przez ustawę środki represyjne, stosowane względem niedbałych gospodarzy (pozbawienie zagrody).

Dalej uważamy, że dokonywanie większych inwestycji w zagrodach dziedzicznych wydaje się nader utrudnione, ze względu na trudności uzyskania kredytu długoterminowego, spowodowane niemożnością udzielenia gwarancji hipotecznej.

Zresztą nawet uzyskanie poważniejszego kredytu krótkoterminowego, przy włączeniu do nienaruszalnej masy zagrody dziedzicznej nawet pościeli i mebli, nie wydaje się zbyt łatwe. Pozostałby więc praktycznie tylko jeden sposób dokonywania inwestycji, mianowicie z nadwyżek dochodowych. Możliwość ta wydaje się być dziś dosyć konkretna ze względu na wysoki poziom cen płodów rolnych w Niemczech. Tu jednak należy wziąść pod uwagę istnienie specyficznych warunków w rodzinie kmiecej. Mianowicie wobec naturalnego i powszechnego zjawiska, iż dla rodziców bliskie są wszystkie dzieci, niezależnie od różnic czynionych wśród nich przez prawo, można z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, iż właściciel zagrody dziedzicznej wolną nadwyżkę swoich dochodów będzie obracał na zabezpieczenie przyszłości i wyposażenie swych wyłączonych od spadkobrania synów i córek, nie na czynienie wkładów w gospodarstwo, które otrzyma tylko jedno z dzieci, mające już tym samym zabezpieczoną przyszłość.

Co się zaś tyczy skutków tej reformy w dziedzinie demograficznej to i tu należałoby zwrócić uwagę na moment psychiczny, mianowicie zastanowić się, czy świadomość, iż tylko jedno z dzieci ma prawo dziedziczenia nie wpłynie na ograniczenie liczby dzieci w małżeństwie, tym samym na skurczenie się dotychczasowej rozrodczości ludności kmiecej.

Z polskiego zaś punktu widzenia należy jeszcze wyrazić obawę, że instytucja zagród dziedzicznych stanie się jednym więcej narzędziem germanizacji terenów zamieszkałych przez autochtoniczną ludność polską jak Śląsk, Warmia, Mazowsze i Pogranicze.

Polskość tamtych terenów utrzymuje się bowiem prawie wyłącznie na wsi. Otóż ustawa o zagrożonych dziedzinach ogranicza poważnie chłonność populacyjną wsi. Jeżeli tylko jeden z synów pozostanie na roli to reszta rodzeństwa będzie musiała emigrować do miast i na zachód Niemiec, gdzie czeka je nieuchronna germanizacja. Równocześnie zaś postanowienia represyjne ustawy, przy postawieniu zasadniczej tezy, że ma ona służyć narodowemu interesowi niemczyzny, stwarzają poważną groźbę, iż w pewnych wypadkach ustawa może być skutecznie użyta i nadużyta dla celów politycznych o charakterze antypolskim.

Uwagi powyższe mają, rzecz prosta, charakter czysto teoretycznych zastrzeżeń. Właściwą odpowiedź będzie mogła dać przyszłość, a i to nie najbliższa. Samo praktyczne skontrolowanie przez życie technicznego działania postanowień ustawy jak systemu dziedziczenia, zakazu sprzedaży ziemi musi trwać przynajmniej jedno pokolenie, to znaczy jedną lub dwie „zmiany właścicieli zagród dziedzicznych. Dopiero po upływie takiego okresu, gdy okaże się, że postanowienia ustawy są należycie przestrzegane i wykonywane, mówić będzie można, że ustawa nietylko formalnie, ale i faktycznie została wprowadzona w życie. Oprócz tego należy pamiętać o tym, że zmiany w dziedzinie gospodarczej i populacyjnej uwydatnić się mogą wyraźnie po upływie również dłuższego czasu. Zatem dopiero wtedy, gdy wszelkie trudności techniczne wprowadzenia ustawy w życie zostaną przezwyciężone i jeeżli okaże się, że poziom kultury rolnej zagród dziedzicznych nie obniżył się, a ludność kmieca cieszy się nadal najwyższą rozrodczością—można będzie twierdzić, że ten olbrzymi eksperyment się udał, że ustawa spełniła swoje zadanie.

Władysław Ligota

Rozwój stosunków narodowościowych kraju Morawsko-Śląskiego*)

Od dłuższego czasu stosunki narodowościowe w Republice Czeskosłowackiej są przedmiotem zainteresowania czynników zagranicznych. Ale także w życiu wewnętrznym Czechosłowacji problem mniejszościowy stał się (z uwagi na sytuację polityczną tego państwa) jednym z najważniejszych zagadnień, jak o tym świadczą deklaracje członków rządu z premierem Hodżą na czele. Znaczeniu i wadze tego problemu nie odpowiada jakościowo czeska literatura naukowa i polityczna, poświęcona wewnętrznym zagadnieniom mniejszościowym. Nawet publikacje Towarzystwa badania spraw narodowościowych w Pradze oraz artykuły, pojawiające się w organie tego towarzystwa, kwartalniku pt. „Narodnostni obzor", nie odpowiadają wymogom poważnego badacza, jako że samo towarzystwo pozostaje pod mniej lub więcej widocznymi wpływami czynników politycznych, a jego publikacje często, niestety, wykazują zbyt widoczną jednostronność. Typowym takim przykładem jest publikacja Chmelara pt. „Mniejszość polska w Czechosłowacji".

Od pewnych tendencyj nie jest wolna ostatnia publikacja profesora szkoły realnej w Kromierzyżu, dra filozofii Vladimira Slaminki, autora studium socjologicznego pt. „Walka o narodowość". Broszura pt. „Narodnostni vyvoj Ceskoslovenske republiky" jest pomimo wszystko dość dobrą broszurą informacyjną, dającą krótki przegląd rozwoju stosunków narodowych na terenie dzisiejszej Republiki w czasie od 1880 — 1930, tak jak ten rozwój przedstawia się w świetle cyfr statystyk urzędowych. W opracowaniu niniejszym ograniczymy się wyłącznie do rozpatrzenia ewolucji stosunków narodowościowych kraju morawsko -śląskiego, a więc tej prowincji republiki, w której mieszka znaczna liczba Polaków.

*) Dr. Vladimir Slaminka: Narodnostni vyvoj Ceskoslovenske republiky". Nakład: F. Obzina, Vyskov. 1937. Str. 123.

KRAJ MORAWSKO-ŚLĄSKI

Stosunki narodowościowe na tym obszarze są bardziej skomplikowane niż w Czechach, gdyż oprócz terytorialnych mniejszości niemieckiej i polskiej mamy tu — ściśle biorąc — do czynienia z autochtoniczną ludnością słowacką.

Rozwój narodowościowy tego terenu wygląda następująco w świetle oficjalnej statystyki austriackiej:

Rok spisu	Czechów	%	Niemców	%	Polaków	%
1880	1,635.363	63.20	873.024	33,74	77.803	3,01
1890	1,760.537	63,22	922,616	33,13	100.021	3.59
1900	1,914.980	63,60	945,446	31,14	147.971	4.91
1910	2,091,521	64,04	1,014.432	31,06	158.261	4,85

Nawet według statystyk austriackich, żywioł czeski wykazywał procentowy wzrost (z 63,20 w r. 1880 do 64,04 w r. 1910), zaś element niemiecki jeszcze mocniejszy spadek (z 33,74% na 31,06). Proces ten odbywał się pomimo germanizacji ludności czeskiej w ośrodkach miejskich i przemysłowych, jak w Ostrawie, Opawie, Frydku, Ołomuńcu, Bernie, Igławie, Znojmie, Hodoninie i in., ale wyludnianie się okręgów niemieckich oddziaływało jeszcze silniej w kierunku odwrotnym.

Postępy żywiołu czeskiego są większe na Śląsku niż na Morawach, jak o tym świadczą cyfry procentowe:

	Morawy		Śląsk		
Rok spisu	Czechów	Niemców	Czechów	Niemców	Polaków
1880	70,36	29.43	28,23	54,78	16,98
1890	70.33	29,38	31,90	49,65	18,44
1900	71,30	27,96	31,39	45,77	22,78
1910	71,66	27,72	33,43	44,51	22,03

Na Morawach Czesi wzrośli z 70,36% w roku 1880 do 71,66% w r. 1910, na Śląsku z 28,23% do 33,43%. W tym samym okresie odsetek Niemców spada na Morawach z 29,43% do 27,72, na Śląsku z 54,78 na 44,51%, czyli że wykazuje spadek z górą 10%, Niemcy tracą tu większość absolutną. Dzieje się to w erze t. zw. germanizacji austriackiej w krajach czeskich.

Ewolucja w tych kierunkach uległa gwałtownemu przyspieszeniu za rządów czeskich, oczywiście jeżeli przyjmiemy, że dane urzędowe odzwierciedlają ściśle stan faktyczny. Jeżeli chodzi o ludność niemiecką, to przeciwko wynikom spisów nie można podnieść zasadniczych zastrzeżeń, przeciwnie, stwierdzić trzeba, że statystyka oficjalna potraktowała Niemców jeszcze stosunkowo naoględniej ze wszystkich mniejszości narodowych, zamieszkujących republikę.

Powojenny obraz stosunków narodowościowych w kraju Morawsko - Śląskim, wśród ludności przynależnej do państwa, jest według statystyk czeskich następujący:

Rok spisu	Czechów	%	Niemców	%	Polaków	%
1910	2,091,521	64,04	1,014,432	31,06	158,261	4,85
1921	2,347,947	72,40	800,179	24,67	72,217	2,23
1930	2,595,534	74,12	799,995	22,85	79,450	2,27

Odsetek ludności czeskiej podniósł się z 64,04% w r. 1910 do 74,12% w r. 1930, odsetek Niemców spadł z 31,06 na 22,85%, zaś Polaków z 4,85 na 2,27%.

Jak kształtowała się ewolucja narodowościowa w obydwu historycznych częściach dzisiejszego kraju morawsko - śląskiego?

	Morawy		Śląsk		
Rok spisu	Czechów	Niemców	Czechów	Niemców	Polaków
1910	71,66	27,72	33,43	44,51	22,03
1921	78,29	20,93	47,81	40,32	11,20
1930	79,62	19,51	52,59	35,93	10,94

W obydwu krajach wzrost liczbowy i procentowy ludności czeskiej jest bardzo gwałtowny, przy czym na Śląsku Czesi zdobywają większość bezwzględną. Proces czechizacji tego kraju, który w r. 1880 wykazywał jeszcze większość niemiecką (54,78%), jest zadziwiająco szybki, skoro do r. 1930 Czesi wzrośli z 28,23 do 52,59%, zaś Niemcy spadli procentowo do 35,93%. W jednym tylko okresie spisowanym 1910 — 1921 Czechów przybyło 256.426, Niemców ubyło 214.253. Poza Śląskiem Cieszyńskim (gdzie narodowość czeska wzrosła kosztem polskim), największe zdobycze mają Czesi do zanotowania w okręgu ostrawskim, w Bernie i na Morawach południowych.

Przyczyn zmian tak niekorzystnych dla narodowości niemieckiej, należy szukać nie tylko w powrocie zgermanizowanych Czechów do narodowości czeskiej (co miało miejsce zwłaszcza w latach poprzewrotowych), lecz również w niekorzystnym rozwoju dynamicznym elementu niemieckiego. W 10-leciu 1921 — 1930 ludność czeska kraju morawsko - śląskiego wzrosła z tytułu przyrostu naturalnego o 270 tysięcy (z czego 142.774 od r. 1925 — 1930), ludność niemiecka o 39 tysięcy (z czego w 6-leciu 1925 — 1930 — 22.345). Ruch imigracyjny daje saldo ujemne dla kraju morawsko - śląskiego. Ubytek z tego tytułu wynosił w rozpatrywanym okresie 92,820 osób, z czego na powiaty niemieckie przypada 16.605 osób. Po doliczeniu strat migracyjnych niemieckich w okręgach o większości czeskiej, ubytek narodowości niemieckiej z tego tytułu wynosi przeszło 20 tysięcy. W rezultacie faktyczna strata spisowa niemiecka w ostatnim okresie wynosi około 20 tysięcy osób, czyli 2,5%. U takiej mniej więcej liczby osób mogła, zdaniem autora, nastąpić statystyczna zmiana narodowości niemieckiej na czeską w r. 1930. Wniosek ten jest niezupełnie słuszny: Dr. Slaminka zapomina o jeszcze jednym czynniku, który wpływa na podniesienie się liczby obywateli państwa danej narodowości: o wzroście z tytułu nadania obywatelstwa czechosłowackiego t. zw. obcokrajowcom.

Podobnie jak w Czechach, tak i w kraju morawsko - śląskim (tylko jeszcze w wyższym stopniu) rozwój etniczny przedstawia się korzystniej dla Czechów, niż dla Niemców. Liczba tych ostatnich na obszarze językowym czeskim kurczy się nie tylko procentowo, ale i bezwzględnie. W latach 1921 — 1930 ubytek Niemców w powiatach o większości czeskiej wynosi 2,3%, podczas gdy narodowość czeska wykazuje w tym czasie przyrost 9,8%. Z drugiej strony także przenikanie żywiołu czeskiego do obszarów niemieckich jest bardzo silne, gdyż w okresie lat 1921 — 1930 przybyło w powiatach o większości niemieckiej tylko 1,8% Niemców, natomiast 25,7% Czechów.

Na podstawie dotychczasowych zjawisk demograficznych i migracyjnych, dr Slaminka przewiduje stały (bezwzględny) wzrost ilościowy narodowości czeskiej oraz względny, a z czasem i absolutny ubytek Niemców. Najbardziej zaznaczy się ubytek Niemców na czeskim obszarze językowym. Obszar językowy niemiecki stanie się w wielu punktach jeszcze bardziej mieszany, najbardziej na Morawach południowych. Na tym odcinku, a także na Śląsku, należy oczekiwać przesunięcia granicy językowej.

Z dotychczasowej ewolucji nie należy jednak wyprowadzać zbyt pochopnych wniosków. Niemcy stanowią w kraju morawsko - śląskim masę liczącą około 800.000 głów. Ze 106 powiatów sądowych, 74 miało w r. 1930 większość czeską, 30 niemiecką, 1 polską. Z tych 30 powiatów niemieckiej większości, ponad 95% ludności niemieckiej wykazuje 12 powiatów, 8 dalszych większość od 50 do 80%. Odsetek powiatów poważnie zagrożonych uzyskaniem większości przez Czechów przekracza 1/4 ogólnej liczby. Charakterystyczne dla konfiguracji narodowościowej Moraw są wyspy niemieckie na obszarze językowym czeskim, z których największe są wyspy świtawska i igławska.

Pod względem wyznaniowym w kraju morawsko-śląskim, tak samo jak w Czechach, najbardziej katolicką jest narodowość niemiecka (w r. 1930 — 94% rzym.-kat., 2,99% ewang.), największy odsetek ewang. wykazuje narodowość polska (60,58% rzym.-kat., 37,57% ewang.). Wśród Czechów było 85,14% rzym.-kat., 6.15% wyznania czechosł., 4,39% ewang., 3,69% bezwyzn.

Z ogólnej liczby 41.250 osób wyznania żydowskiego podało narodowość żydowską 51,67% osób, narodowość niemiecką 29,08%, zaś narodowość czeską i słowacką 17,58%. Ruch narodowy żydowski ma tu mocniejsze oparcie, niż w Czechach, gdzie z ogólnej liczby 76.301 osób wyznania żydowskiego narodowość żydowską zadeklarowało tylko 20,26%, narodowość czeską 46,42%, niemiecką 31,01%.

LUDNOŚĆ POLSKA

Ludność polską autor omawia łącznie z innymi narodowościami kraju morawsko - śląskiego. Dla lepszej przejrzystości traktujemy ją poniżej odrębnie.

Na wstępie stwierdzamy, że dr. Slaminka idzie utartym szlakiem olbrzymiej większości publicystów czeskich, głoszących legendę o czeskim pochodzeniu mieszkańców Śląska Cieszyńskiego. Pisze on, że w kraju tym powraca do narodowości czeskiej i do kultury czechosłowackiej ludność tubylcza, która dawniej była kulturalnie i językowo związana z narodem czeskim i dopiero w drugiej połowie XIX wieku uległa spolszczeniu (!). Polonizacja stanowiła rzekomo tylko etap przejściowy do germanizacji (!).

Jak wynika z poprzednich zestawień, liczba bezwzględna Polaków, przynależnych do państwa, wzrastała za rządów austriackich w cyfrach absolutnych z dziesięciolecia na dziesięciolecie. W okresie od r. 1880 do r. 1910 podniosła się z 77.803 do 158.261, czyli uległa podwojeniu. Procentowy wzrost jest nieco mniejszy: z 3,01% na 4,85%. Trzy czynniki wpływały na wzrost liczby Polaków: 1. postępujący proces uświadomienia narodowego, 2. większy przyrost naturalny u Polaków niż u Czechów i Niemców, 3. imigracja z Małopolski do zagłębia ostrowsko - karwińskiego. Pomimo że czynniki te działały z niesłabnącą mocą także w dziesięcioleciu 1900 — 1910, statystyka austriacka wykazała w tym czasie zadziwiający spadek odsetka Polaków z 4,91 na 4,58%, jakkolwiek z przebiegu procesów populacyjnych i migracyjnych należało oczekiwać podniesienia się odsetka Polaków do co najmniej 5,5%. Już w roku 1910 austriacki spis ludności nie odzwierciedlił faktycznego stanu narodowościowego, szczególnie w tych gminach językowo polskich zagłębia ostrawsko - karwińskiego, które po r. 1900, dzięki kurialnym prawom wyborczym, opanowali czescy inżynierowie i urzędnicy z pomocą swoich popleczników. (Orłowa, Łazy, Pietwałd, Sucha Średnia, Dolna itd).

Niepomiernie większe niespodzianki przynosi oficjalna statystyka czeskosłowacka. Liczba Polaków, obywateli państwa, spada ze 158.261 w r. 1910 na 79.450 w r. 1930, a więc więcej niż o połowę. *Nie gdzie indziej, jak właśnie na Śląsku Cieszyńskim, statystyka czeskosłowacka odkrywa rzekome największe przesunięcia narodowe, nie tylko w kraju morawsko-śląskim, lecz w Republice Czeskosłowackiej w ogóle.* Ze zmian tych korzysta wyłącznie narodowość czeska i to przede wszystkim kosztem Polaków. I tak w okresie od r. 1910 — 1921 miał odsetek narodowości czeskiej (obywateli państwa) podnieść się w powiecie sądowym bogumińskim o 39,06%, w powiecie czesko-cieszyńskim o 34,49%, we frysztackim o 29,03%, śląsko-ostrawskim 26%, jabłonkowskim 20,95%, czyli że w okręgach i gminach, w których w ogóle nie było mniejszości czeskiej (powiaty jabłonkowski, czesko - cieszyński z wyjątkiem kilku gmin i znaczna część frysztackiego), nagle pojawia się mniejszość czeska, licząca od 20 — 40%, a w całym szeregu gmin nieznaczna mniejszość czeska staje się dominującą większością(!).

Te wielkie straty polskie tłumaczy dr Slaminka tym, że z jednej strony wielu Polaków, przybyłych na Śląsk z Galicji, nie nabyło obywatelstwa czeskosłowackiego i dlatego nie figuruje w statystyce narodowościowej obywateli czeskosłowackich, z drugiej strony, że narodowość czeską zadeklarowała rzekomo wielka część t. zw. „Ślązaków" (raczej „Ślązakowców"), których austriacka statystyka urzędowa zaliczyła do Polaków. Zdaniem tego autora, trudno jest ustalić narodowość ludności miejscowej we wschodnich(!) powiatach Śląska Cieszyńskiego na podstawie języka, gdyż dialekt Ślązaków cieszyńskich jest bliski zarówno polszczyźnie, jak i czeszczyźnie. Dlatego to u Ślązaków decydującym momentem przy stwierdzaniu narodowości jest uświadomienie i przekonanie narodowe.

Argumentacja autora jest nieistotna. Twierdzenie, że ubytek Polaków spowodowało w wielkiej mierze utworzenie kategorii t. zw. obcokrajowców, nie daje odpowiedzi na pytanie, gdzie podziała się połowa Polaków, wykazanych w austriackich spisach ludności. Jeśli bowiem do cyfry Polaków, obywateli czeskosłowackich, doliczymy tylko tych obcokrajowców, których organa spisowe uznały jako Polaków, to suma Polaków obydwu kategoryj wyniesie w r. 1921 — 100.156 =2,99% ogółu ludności, a w r. 1930 — 89.125, a więc tylko 2,50% (gdy w r. 1910 suma obywateli obydwu kategoryj mogła dochodzić do 5%).

Dr fil. Slaminka nie wie także (albo udaje, że nie wie) o tym, że nie ma poważnego językoznawcy czeskiego, który by kwestionował zdecydowanie polski charakter gwary cieszyńskiej. Publicysta ten zdaje się nie wiedzieć także o tym, że — o ile istnieje spór naukowy o dialekty przejściowe polsko - czeskie, to nie dotyczy on bynajmniej gwary cieszyńskiej, lecz wyłącznie dialektów laskich we Frydeckim, na Śląsku Opawskim i Hulczyńskim oraz na Morawach północno - wschodnich, a więc w okręgach, które statystyka oficjalna uważa bez najmniejszych skrupułów za czeski obszar językowy, pomimo że język ludu tubylczego wykazuje tam takie cechy polskie, jak brak iloczasu, akcent na przedostatniej zgłosce, miękkie ś, ź, a na znacznej części okręgów laskich nawet pochylanie a na o i wyraźne ślady nosówek. Na obszarze gwar laskich statystyka oficjalna naliczyła około 450 tysięcy „Czechosłowaków".

Wysuwając tezę, że podstawą do ustalania narodowości na Śląsku Cieszyńskim winno być uświadomienie narodowe, nie język, autor bije taranem w ustawodawstwo czeskie, które w rozporządzeniu wykonawczym o spisie ludności z r. 1930 przyjęło zasadę, że język ojczysty jest regułą przy zapisywaniu narodowości. Staje on także w sprzeczności z Państwowym Urzędem Statystycznym w Pradze i z tymi autorytetami czeskimi, z drem Bohacem na czele, które wbrew sprzeciwom, zwła-

szcza ze sfer niemieckich, przeprowadziły zasadę ustalania narodowości według kryteriów obiektywnych języka ojczystego.

Katastrofalny spadek odsetka ludności polskiej nie jest usprawiedliwiony ani zmianą metod i kryteriów statystycznych, ani tym mniej przyczynami demograficznymi, które, jak wynika z cyfr statystycznych, podanych przez samego autora, właśnie dla mniejszości polskiej są najkorzystniejsze ze wszystkich narodowości zamieszkujących kraj morawsko - śląski. Ponieważ statystyka czeska nie zna także zjawiska jakiejś masowej emigracji Polaków, spisy ludności powinny były skonstantować nie ubytek, ale wzrost procentowy elementu polskiego.

Nie ma więc argumentów, które by usprawiedliwiały tak kolosalną redukcję Polaków. Wiemy, że na terenach, zamieszkałych przez lud polski, uprawiana jest wytężona akcja czechizacyjna, ale nikt nie zgodzi się z tym, żeby w przeciągu kilkunastu lat możliwe było wynarodowienie połowy ludności, zamieszkałej na swoim własnym obszarze etnicznym, tym bardziej, że każdy może przekonać się naocznie, iż w całym szeregu gmin, figurujących w statystyce oficjalnej jako przeważnie czeskie, ludność tubylcza posługuje się dotąd wyłącznie polskim dialektem cieszyńskim (Karpętna, Trzycież, Gnojnik, Mosty k. Cieszyna, Stanisłowice, Stare Miasto k. Frysztatu, Lutynia itd.)

DROGAMI PRACY POLSKIEJ

Tadeusz Nowacki

„Górka"

W dwudziestą rocznicę wielkiej inicjatywy

Bywają czasem rzeczy i prace tak piękne, że niepodobna przejść obok nich obojętnie, bywają w życiu zjawiska, zmuszające patrzącego do głębokiej refleksji. Do takich zjawisk niewątpliwie należy „Górka". Górka jest to poprostu skrót na oznaczenie zakładu leczniczo - wychowawczego dla dzieci przewlekle chorych imienia Rektora Dra J. Brudzińskiego, mieszczącego się tuż pod Buskiem w województwie kieleckim.

Sanatorium na Górce jest zakładem leczniczo-wychowawczym, jeśli nie najlepszym to jednym z najlepszych tego typu zakładów, jakie istnieją w Europie. I w dodatku całe sanatorium myśl-projekt i realizacja—powstało z pracy jednego, jedynego człowieka, niepoprawnego romantyka i entuzjasty, będącego jednym z tych rzadkich ludzi, którzy mierzą siły na zamiary.

Na samym początku przyda się tutaj odrobina liczb.

Pomimo ogromnych osiągnięć naukowych na polu higieny społecznej i opieki zdrowotnej nad dzieckiem — może właśnie dlatego, że osiągnięcia te pozostają w znacznej mierze na polu teoretycznym — problem dziecka chorego i racjonalnej nad nim opieki przedstawia się jako kwestia dotąd domagająca się rozwiązania w skali państwowej. Według opinii pediatrów europejskich na 1000 mieszkańców powinno przypadać jedno łóżeczko dziecięce w szpitalu. W stosunku do tej cyfry w Polsce powinniśmy mieć 33.000 łóżeczek, podczas gdy mamy niewiele ponad 10% tej liczby. Pozostała kilkudziesięciotysięczna rzesza chorej dziatwy znajduje się poza konieczną opieką szpitalną, a nierzadko nawet i poza opieką lekarską. Pozostajemy tu daleko w tyle poza krajami zachodniej Europy, gdzie liczne sanatoria dziecięce (Francja tylko nad brzegiem morza posiada 54 sanatoria z 12,360 łóżek) przeznaczone są wyłącznie dla ratowania zdrowia młodych pokoleń.

W Polsce dopiero po wojnie poczęto organizować opiekę sanatoryjną dla dzieci chorych, specjalnie gruźliczych, przyczym inicjatywa wyszła od dwu jednostek, t. j. Dra Starkiewicza, który stworzył Górkę i Prof. E. Godlewskiego (Bystre i Witkowice). O ile pod względem ilości łóżeczek jesteśmy w stosunku do zagranicy opóźnieni, o tyle pochlubić się możemy tym że właśnie na Górce, została na odpowiednim poziomie postawiona praca wychowawcza nad dzieckiem chorym. Jak wynikało z referatu sprawozdawczego Dra Spitzera, który objeżdżał zakłady tego typu, nigdzie na zachodzie sprawy tej racjonalnie nie rozwiązano. W wielkim sanatorium szwacjarskim o wspaniałych urządzeniach siostra sanatoryjna pokazywała z dumą małą, źle wentylowaną izdebkę w suterynach, gdzie dzieci miały „naukę". Był to owoc długich bojów z personelem lekarskim, który naogół nie docenia znaczenia pracy pedagogicznej w szpitalu dziecięcym. Dr. Starkiewicz oglądał głośne sanatorium belgijskie pod Ostendą nad morzem w Breedene, gdzie dla 200 dzieci była jedna tylko wychowawczyni, pełniąca zarazem obowiązki sekretarki!...

W Polsce rozpoczął się w tej sprawie dość znaczny ruch, wyrazem którego był tegoroczny zjazd na Buczu, poświęcony sprawie szkolnictwa sanatoryjnego. Źródłem tego ruchu w znacznej mierze jest niewątpliwie Górka.

Zagadnienie opieki wychowawczej nad dzieckiem chorym jest sprawą o niezmiernej doniosłości. Lecznica, stosująca tylko opiekę lekarską, wykonywuje pewnego rodzaju magię. Traktuje swych małych pacjentów jak zwierzątka, jak gdyby rzeczywiście można człowieka leczyć dobrze, traktując go tylko jako organizm przyrodniczy. Zapomina się tu o tym, że człowiek jest całością psychofizyczną i choroba, szczególnie u dziecka, ma swoje odpowiedniki w zmianach psychicznych. Człowiek dorosły, skazany na kilkomiesięczny pobyt w łóżku szpitalnym, doznaje wielu zmian fizycznych i psychicznych. Po powrocie do zdrowia będzie się uczył nietylko ruchów, jakie kiedyś dobrze wykonywał, ale i pewnych funkcji umysłowych, uległych zaniedbaniu. A przecież człowiek dorosły posiada wielkie bogactwo przeżyć, doświadczeń, mnóstwo kontaktów, które chronią go od zupełnej izolacji. Dziecko tego niema. Jeżeli w okresie największego napięcia sił rozwojowych kilkuletnie dziecko pozbawione jest tych wszystkich przeżyć i wrażeń, jakie mają jego rówieśnicy, to co się stanie z umysłem małego pacjenta? Jeżeli tylko leczyć będziemy organizm powstaną w psychice dziecka głębokie szczerby, które długo będą się ujawniały. Czy warto w takim razie leczyć, aby wypuścić dziecko zapóźnione umysłowo i stworzyć mu w późniejszym życiu mnóstwo kłopotów? Problem ten potężnieje i przez to, że jak wykazały dotychczasowe badania psychologiczne dzieci przewlekle chore na Górce posiadają iloraz inteligencji mniejszy od przeciętnego, a więc tym staranniejszej wymagają opieki wychowawczej.

Opieka nad dzieckiem chorym musi objąć je jako całość — nietylko organizm dziecka, ale i jego duszę. Tymbardziej, że dopiero wtedy, gdy zajmiemy umysł dziecka, i zadowolimy jego naturalny pęd rozwojowy, dopiero wtedy wyzyskamy całość zasobów i przejawów energii dziecięcej, stworzymy dziecku lepsze samopoczucie, dziecko uzyska harmonię wewnętrzną, lepszy sen, lepsze łaknienie, żywsze zainteresowania.

I właśnie na Górce powstała pierwsza normalna szkoła sanatoryjna. W ramach możliwości pracy dziecka, wyznaczonej przez lekarzy, działa pedagog. Dziecko nie tylko nie stoi, czy nawet cofa się w swym rozwoju, ale wręcz przeciwnie rozwija się tak jak jego zdrowi rówieśnicy, o ile tylko stopień schorzenia na to pozwala.

Wyrasta tutaj pewien problem naukowy, dotyczący przygotowania personelu do pracy tego rodzaju. Z jednej bowiem strony pediatrzy powinni być uczuleni na momenty wychowawcze, z drugiej zaś pedagodzy powinni posiadać jakieś minimum orientacji w zakresie procesów chorobowych, aby pierwsi rozumieli i czuli potrzebę pracy wychowawczej, a drudzy umieli przystosować tę pracę do wskazówek lekarskich. Jeśli na Górce problem ten został w pewien sposób rozwiązany, jeżeli niema scysyj między pedagogiem i lekarzem, to tylko dzięki specjalnemu doborowi personelu i lekarskiego i pedagogicznego. I lekarz i pedagog na Górce k o c h a dziecko i dlatego praca idzie harmonijnie. Dzieci się uśmiechają, dzieci czują się dobrze i w znakomitej większości *nie tęsknią do domu*. To jest wynik wspaniały, jakim nie może się poszczycić żadne sanatorium francuskie czy niemieckie, wynik osiągnięty w znacznej mierze przez pracę wychowawczą.

Stan ten nie został osiągnięty odrazu. Wielu wychowawców odchodziło zrażonych trudnościami. Obecny kierownik szkoły sanatoryjnej p. Eustachy Kuroczko pracował najpierw w roli *pielęgniarki*, aby poznać dokładnie warunki życia i możliwości pracy małych pacjentów. Kiedy po tej praktyce powiedział, że nauka jest tu rzeczą możliwą, to jeszcze czekały go długie próby, zanim odnalazł właściwą drogę i właściwe metody pracy.

Niezapomniany jest widok, gdy na czyściutkiej sali szpitalnej odbywa się lekcja. Uczniowie leżą w łóżeczkach i pilnie przysłuchują się słowom nauczyciela. Udział w lekcjach jest bardzo żywy. Przy każdym łóżeczku znajduje się teczka z zeszytami i książkami, tak że dziecko łatwo może po potrzebny przedmiot sięgnąć. Po lekcji pielęgniarki przesuwają łóżeczka na właściwe sale.

Czy jest przedmiot piękniejszy i milszy nad roześmianą dziecięcą twarzyczkę? Jaką radością uśmiech dziecka napawa rodziców i jak chętnie błysk radości z oczu dziecka i jego szczery, piękny uśmiech przenosi się na twarze dorosłych. A teraz proszę pomyśleć. Dziecko z gruźlicą kości, unieruchomione w ciągu długich lat na łóżeczku, pozbawione ruchu, który jest tak żywiołem dziecięcym, jak żywiołem ryb jest woda a ptaków powietrze. Dziecko, spoglądające z zazdrością na żywo poruszających się zdrowych towarzyszy, na biegających rówieśników, czujące całe swe upośledzenie i chorobę, poddane bezlitosnemu jej fatum. Przecież jest prawie nie do uwierzenia, aby to dziecko umiało się wesoło uśmiechać. Przecież to niemożliwe, aby to nie był mały poważny sensat o zamyślonej twarzyczce i dużych smutnych oczach. I tak pewnie wyglądają te dzieci, ale nie na Górce. Na Górce niema dzieci smutnych.

Tajemnica uśmiechu dzieci na Górce jest prosta i nie zawiera w sobie żadnego czarnoksięstwa. Tajemnica ta kryje się w nastroju i opiece, jaką dzieci są otoczone, w przyjaźni i poświęceniu, jakie cechują cały personel zakładu. Generalnym

źródłem nastroju jest tutaj słoneczna osobowość Dra Starkiewicza, nadającego całemu zakładowi cechę swobody i radości, harmonizującej ze słoneczną pogodą, sprzyjającą Górce. Ludzie w białych płaszczach, personel sanatorium, to wszystko ludzie kochający dzieci, zespół dobrany, sharmonizowany z sanatorium i jego budowniczym.

Ciekawe są dzieje powstania Sanatorium w Górce. Ściśle 20 lat temu, nieznany i skromny lekarz, dr. Szymon Starkiewicz, w najtrudniejszym okresie Wielkiej Wojny, w sierpniu 1918 r., wydaje odezwę do społeczeństwa i poczyna zbierać ofiary na budowę sanatorium dla dzieci. Skąpo to jednak idzie. Kiedy wkońcu zakupiony już został teren pod przyszłą budowę, budowy samej nie sposób zacząć, gdyż brak jest na to absolutnie funduszów. Dr. Starkiewicz chwyta wówczas łopatę i z rodziną staje do kopania gliny na wyrób cegieł pod budowę...

Nie zrażając się żadnymi trudnościami i żadnymi przeciwnościami, borykając się z trudnościami finansowymi, doprowadził Dr. S. swoje dzieło do obecnego stanu. W skład zakładu wchodzi obecnie zaklęty pałac dla dzieci—główny gmach sanatorium, obliczony na ponad 200 łóżeczek, szereg pawilonów letnich, sezonowe kolonie lecznicze, prowadzone zarówno na Górce jak i w jej filiach: w Hallerowie nad morzem, w Ujściu Jezuickim, w Winiarach nad Wisłą, w lasach w Tarnoskale i w uroczysku Wełecz. Zakład posiada olbrzymi, własny ogród na użytek dzieci, gospodarstwo wiejskie, własną drogę od szosy Busko - Korczyn, przychodnię leczniczą, cegielnię, studnie, garaże, basen, warsztaty. Prawnie Górka jest *spółdzielnią* i szerzy czynnie ideały spółdzielcze. Pod jej patronatem wyrosła spółdzielnia spożywcza i spółdzielnia zdrowia w pobliskiej wsi: Zbludowice.

Wszystko to zostało zbudowane, zmontowane i działa mocą pracy jednego jedynego człowieka, który posiada romantyczną wiarę w Dobro, niezłomną wolę realizacji i zdolność poświęceń. Dr. S. jest człowiekiem, który nadewszystko ukochał dzieci i miłość ta rozświetla całą pracę sanatorium.

Dr. S. jest czcicielem Wielkiego Marszałka i Żeromskiego. Sam jest ucieleśnionym bohaterem wielkiego pisarza. W dwudziestolecie pięknej i płodnej inicjatywy dobrze byłoby, aby na Górkę przyjeżdżały wycieczki młodzieży z całej Polski, uczyć się tutaj pracy i oceniać rezultaty „judymowego trudu" dra Starkiewicza, o którym trudno powiedzieć inaczej jak tylko słowami Żeromskiego, że „stanowi zaszczyt i ozdobę swego pokolenia".

Na marginesie

NI WOJNY NI POKOJU

Wprawki wojenne na pograniczu japońsko-sowieckim zostały na razie zakończone. Nie mniej powinny były być charakterystycznym ostrzeżeniem co do materiału, z którego sporządzony jest obecny pokój świata. Materiał ten daleki jest od dawnej solidności i trwałości. Można by rzec, że żyjemy w warunkach stopniowego zacierania się granic pomiędzy pokojem i wojną. Stan ten, jak każdy stan chaosu, może być wysoce niebezpieczny.

Z punktu widzenia europejskiego można się jeszcze dziś pocieszać, że terytorialnie jesteśmy dość odlegli od ostatnio czynnych azjatyckich ognisk wojennych. Odległość ta jednak jest pozorna i łudząca. Współczesny Europejczyk przypomina nieco obywatela dawnego Cesarstwa Rzymskiego z pierwszych wieków po Chrystusie — niewiele punktów globu może mu być istotnie obojętnych. Azja na pewno nie należy do rzędu takich punktów. Rozwój wypadków na Dalekim Wschodzie musi interesować nie tylko te państwa, które mają tam dzisiejszą sieć bezpośrednich wpływów i interesów, lecz każde z państw Europy. Musi interesować podwójnie. Z jednej strony ze względu na zarysowujące się możliwości przyszłego zasadniczego przesunięcia się ośrodków aktywności historycznej z europejskiego półwyspu na ląd azjatycki, z drugiej — bezpośrednio bliższej — ze względu na rozwój wypadków na terenie ogromnego pomostu pomiędzy Europą i Azją, jakim jest półeuropejski, sowiecki, partner niedawnych wypadków wojennych na wschodzie. To pogranicze Azji i Europy, jakim była dawna Rosja i jakim jest dzisiejszy Związek Sowieckich Republik, będzie przeżywało swoją najbliższą historię w sposób wysoce nieobojętny dla wszystkich współpartnerów europejskich, w pierwszym zaś rzędzie dla bezpośrednich sąsiadów. Każda wojna, zarówno pomyślna, jak niepomyślna, będzie czynnikiem stwarzającym warunki wyzwolenia sił dziś utajonych i związanych tego pomostu. W razie wojny pomyślnej zwiększy się zapewne aktywność czynników centralnych, w razie niepomyślnej — czynników anarchicznych i odśrodkowych. Nie mniej jednak dla Z.S.R.R. wojna będzie zapewne okresem nie tylko zewnętrznej próby sił na danym odcinku, lecz i wyładowania zduszonych dziś energii potencjalnych.

Z tego punktu widzenia zainteresowanie nasze wypadkami na Dalekim Wschodzie musi być znacznie bliższe, niżby to wynikało z terytorialnej odległości ognisk niepokoju wojennego. Decyzja obu stron poprzestania obecnie na dwutygodniowych wprawkach wojennych niewiele tu zmienia. Stan, który dzisiaj wytwarza się na wschodzie, jest stanem odpowiadającym obyczajom i upodobaniom obu partnerów: stanem ni wojny ni pokoju, działań od wypadku do wypadku. Stan taki może trwać bardzo długo, może jednak również każdej chwili zamienić się w otwartą wojnę. W każdym razie sam przez się jest już dostatecznie realnym wskaźnikiem istotnie panującego na Dalekim Wschodzie układu stosunków i sił, który, jeśli nie jest wojną, nie jest jednak również i pokojem, jest specyficznym rodzajem półwojennego chaosu.

Lecz stan ten łatwo może przestać być właściwością odległego azjatyckiego terenu. Pobieżna analiza stosunków europejskich łatwo prowadzi do wniosku, że wygłoszony przed dwudziestu laty paradoks L. Trockiego o stanie, który nie będzie ni pokojem ni wojną, staje się coraz mniej paradoksem, co raz bardziej odbiciem rzeczywistości. Kto wie, czy nie będzie to jedna z najistotniejszych cech przeżywanego dziś okresu historii?

ZBĘDNA DYSKUSJA

Rozszerzające się kręgi dyskusji „masońskiej" ogarnęły ostatnio nowy punkt zainteresowania: sprawę sądów Marszałka Piłsudskiego o ewentualnej roli masonerii w Polsce.

W sprawie tej doraźnie nastąpiły konstatacje sprzeczności pomiędzy relacjami opublikowanymi przez b. posła p. Władysława Baranowskiego i poglądami Marszałka, wyrażanymi przy innych okazjach w stosunku do ludzi, którzy niewątpliwie mieli okazję częstszych i zapewne bezporównania realniejszych rozmów na tematy polityczne.

Dyskusja ta — powiedzmy otwarcie — wydaje nam się dość niebezpieczna. Metoda wyciągania wniosków z doraźnych wypowiedzi nie zawsze może przyczyniać się do istotnego wyświetlenia sprawy. Zdaje sobie dobrze z tego sprawę Kościół Katolicki, kiedy dogmat nieomylności Papieża stara się wiązać nie z każdą formą wypowiedzi, lecz jedynie z wystąpieniami o charakterze ex-katedra.

W naszym rozumieniu stosunek Józefa Piłsudskiego do zagadnienia masonerii w Polsce w świetle dotychczasowych materiałów zdawał się występować dostatecznie jasno. Był stosunkiem Człowieka, który każdą siłę gotów jest zaprząc w służbę interesów Państwa, żadnej nie zezwoli rozwijać się kosztem pasożytowania na tych interesach. Stąd też niewątpliwie inaczej wyglądało dla Józefa Piłsudskiego zagadnienie wyzyskania w pierwszym okresie naszej państwowości takich czy innych koneksji masońskich dla rozładowywania trudności Polski na terenie Ligi Narodów, inaczej — próby odziaływania na politykę zagraniczną Polski w duchu przeciwstawiania się akcji istotnego uniezależnienia tej polityki od wszelkich wpływów obcych, chociażby nawet przyjaznych.

Tak zdawał się wyglądać wykładnik stosunku politycznego. Jak zaś mógł się przedstawiać stosunek osobisty? — Na tym stosunku nie mogły nie zaważyć dwa zasadnicze momenty. Józef Piłsudski był wielkim realistą — masoneria zdradza skłonności upajania się frazeologią; Józef Piłsudski wierzył w wojsko, gdy cechą masonerii jest skłonność do wiary w oderwane teorie międzynarodowej sprawiedliwości. Były to różnice tak zasadnicze, że dla istoty zagadnienia będą miały zawsze znaczenie niezależne, istotniejsze niżeli taka czy oderwana wypowiedź.

Stąd też nie wierzymy, by spór o prawdziwość takich czy innych słów mógł naprawdę przyczynić się do wyjaśnienia kwestii, która — naszym zdaniem — nie przedstawia zgoła poważniejszych zagadek i wątpliwości.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Anglia—Francja—Włochy—Daleki Wschód—Ententa Bałkańska

(z. d.) 26 lipca Chamberlain wygłosił w Izbie Gmin wielkie expose polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii. Przedstawiając deputowanym politykę swego rządu, ściśle biorąc swą własną politykę, premier mówił o sprawach dotychczas nierozwiązanych. Jeśli bowiem pominiemy stosunki między Anglią i Francją, doprowadzone do niezwykłej harmonii głównie dzięki pracom poprzedników Chamberlaina, to w bilansie działalności obecnego premiera brytyjskiego pozostają jedynie fazy zaczętych eksperymentów: układ anglo - włoski z dnia 16 kwietnia rb., oraz misja lorda Runcimana.

W związku z układem anglo - włoskim niezwykle ważne jest oświadczenie Chamberlaina, że układ ten wejdzie w życie o tyle tylko, o ile sprawa Hiszpanii przestanie zagrażać pokojowi Europy. Premier Wielkiej Brytanii oświadczył nadto, że samo wycofanie ochotników cudzoziemskich nie wystarczyłoby dla odebrania zagadnieniu hiszpańskiemu charakteru groźby dla pokoju. Do zagadnienia hiszpańskiego należy również odnieść oświadczenie, że „niech ktokolwiek sobie nie wyobraża, iż szukając pokoju gotowi jesteśmy poświęcić honor lub żywotne interesy Wielkiej Brytanii". Ze słów tych można wnioskować, że istotnym warunkiem Chamberlaina, aby układ anglo - włoski wszedł w życie, jest rezygnacja Włoch z wszelkich trwałych osiągnięć strategicznych na terenie Hiszpanii i jej kolonij. Czy jednak Włochy mają istotnie zamiar takiej rezygnacji, czy aby nie podpisywały umowy z Wielką Brytanią w nadziei, że uda się im „zbyć" Chamberlaina symbolicznym wycofaniem ochotników, zachowując równocześnie korzyści układu i bazy wojenne w Hiszpanii?

Układ anglo - włoski pozostaje bezsprzecznie pod bardzo poważnym znakiem zapytania. Stąd Chamberlain z podwójną energią bierze się do rozwiązania zagadnienia sudeckiego, m. in. w nadziei, że rozwiązanie tego zagadnienia i uspokojenie Niemiec wpłynie na pojednawczość Włoch. W ten sposób na terenie Sudetów spotykają się nici wszystkich wielkich problemów dzisiejszej polityki europejskiej. Tutaj rozstrzygają się sprawy pozycji Niemiec i Francji w Europie Środkowej, tutaj może się również rozstrzygnąć kwestia stosunków Anglii z Włochami. Wszystkie oczy zwracają się więc na Londyn, Runcimana i Czechosłowację — Czechosłowację w rękach Anglii.

*

Znak zapytania nad układem anglowłoskim stawiają Włochy w pierwszym rzędzie przez nieustanne wzmaganie interwencji zbrojnej w Hiszpanii. Gen. Franco nie udzielił dotychczas Komitetowi Nieinterwencji odpowiedzi w sprawie zaakceptowanego przez Komitet planu stopniowego wycofania ochotników cudzoziemskich z obu stron frontu, w dodatku lądowały w Hiszpanii nowe posiłki włoskie dla powstańców. Wytworzona sytuacja przypomina wydarzenia po podpisaniu 2 stycznia 1937 r. anglo - włoskiego *gentlemans agreement*, które pozostało świstkiem papieru wskutek wzmożenia potem przez Włochy interwencji zbrojnej w Hiszpanii. Zachodzi więc obawa, wobec nowych wysyłek efektywów włoskich do Hiszpanii, że i układ z dnia 1 kwietnia rb. pozostanie kawałkiem papieru bez realnej treści.

Obawa ta uzasadnia się szczególnie możliwą reakcją Francji na interwencję włoską. Francja zamknęła jak wiadomo granicę pirenejską, po gwałtownych, wywołanych pomocą Francji dla Hiszpanii czerwonej atakach Mussoliniego, z zastrzeżeniem, że czyni to jedynie dla ułatwienia Komitetowi Nieinterwencji opracowania i przeprowadzenia planu wycofania ochotników. Kiedy więc z jednej strony plan ten jest ignorowany przez gen. Franco, z drugiej zaś Włochy wysyłają nowe transporty wojska, Francja może znów otworzyć granicę pirenejską. Wywołałoby to oczywiście nowe zaognienie stosunków między Francją i Włochami. Wobec najgłębszej harmonii między Francją i Anglią, w wytworzonej obecnie sytuacji można oczekiwać dwóch rozwiązań: albo rząd Francuski, nie chcąc utrudniać Anglii i sobie stosunków z Włochami nie będzie reagował na nowe akty interwencji Włoch — poniosąc jeszcze jedną międzynarodową porażkę prestiżową i narażając się na gwałtowne ataki opozycji lewicowej, albo też skorzysta z czynionych uprzednio zastrzeżeń i granicę pirenejską otworzy, przy czem losy anglo - włoskiej umowy i spodziewanego porozumienia francusko - włoskiego pozostaną więcej niż niepewne. Nie ulega wątpliwości, że Chamberlain, sprzyjający gen. Franco i zaniepokojony o los swojego układu z Mussolinim, uczyni wszystko, aby skłonić Francję do pogodzenia się z faktem wzmożenia się interwencji włoskiej. Na to, zapewne, liczy Mussolini, pragnący skończyć szybko wojnę hiszpańską, a nie zrywać swej gry z Chamberlainem.

*

W ostatniej chwili nadchodzą z Dalekiego Wschodu wiadomości o zawieszeniu broni między Rosją i Japonią. Taki obrót sprawy odpowiada całkowicie wyrażanemu przez nas niejednokrotnie poglądowi, że Sowiety w najbliższej przyszłości nie będą starały się doprowadzić do wojny z Japonią. Ponieważ i Japonia, jak to było widać odrazu z przebiegu konfliktu granicznego, unika wojny, więc uspokojenie na granicy syberyjsko - mandżurskiej jest zupełnie naturalnym wydarzeniem.

Rozmaicie oceniano przyczyny, które skłoniły Sowiety do wywołania konfliktu. Najprymitywniejsza ocena przypisywała Sowietom chęć odciążenia armii Czang-Kai-Szeka przez związanie sił japońskich na pograniczu Mandżurii. Zapominano jednak, że Japonia, ktora nie może pozwolić sobie na przedłużanie, a więc wstrzymywanie działań wojennych w Chinach, zamiast przerzucać wojska z nad Jang-tsekiangu do Mandżurii zmobilizuje conajwyżej nowe rezerwy. Rezultatem konfliktu byłoby więc jedynie powiększenie wydatków wojennych Japonii. Wobec tego, że konflikt musiał albo przeistoczyć się w wojnę, albo niebawem się skończyć, jego efekt gospodarczy mógł być tylko znikomy, a zatem wpływ bezpośredni na sytuację wojskową w Chinach żaden. Tłumaczono również konflikt graniczny sowiecko - japoński sytuacją polityczną czynników komunistycznych w Chinach. Agenci Kominternu przekonywują Chińczyków o tym, że Sowiety czuwają nad Chinami jak anioł opiekuńczy, lecz trudno przy tym wytłomaczyć Chińczykom, dlaczego anioł nie wznosi miecza aby rozgromić wspólnego wroga, japońskich militarystów. Konflikt na granicy mandżurskiej miał w myśl tej koncepcji podtrzymać w Chinach ducha, upadającego pod wpływem bierności Sowietów. Istotnie, jak donosiły depesze prasowe, na wieść o starciach na pograniczu Mandżukuo odbywały się w Chinach radosne manifestacje. Lecz wobec zawieszenia broni, szczególnie wobec ewentualnego dalszego wyjaśnienia sytuacji należy spodziewać się w Chinach w bliższej lub dalszej przyszłości tym większego rozczarowania. Wątpliwe więc czy Sowiety, jeśli miały w programie krótkotrwały konflikt graniczny, czyniły to w celu podtrzymania upadających na duchu Chińczyków. Zdaje się, że Sowiety liczą głównie — i nie bez słuszności — na gospodarcze wyczerpanie Japonii i nie widzą potrzeby jakiejś specjalnej interwencji w konflikcie japońsko-chińskim.

Główna przyczyna konfliktu granicznego rosyjsko - japońskiego leży, zdaniem naszym, jak to już podkreślaliśmy w poprzednim Notatniku, w sferze zagadnień europejskich, w sprawie Czechosłowacji. Sowietom chodziło najprawdopodobniej o wybadanie, cz Japonia zdolna jest i zdecydowana do stoczenia w chwili obecnej wojny z Sowietami lub Anglią, czy jednym słowem zdolna jest do poparcia osi Berlin — Rzym. Odpowiedź wypadła przecząco. Wpłynie to wydatnie na sytuację w Europie.

*

31 lipca premier grecki Metaxas, działający w imieniu Stałej Rady Ententy Bałkańskiej, oraz premier Bułgarii Kiosseiwanow, podpisali deklarację, stwierdzającą wspólność pokojowej polityki na Bałkanach, wykluczającą użycie siły w stosunkach wzajemnych, wreszcie znoszącą klauzule wojskowe traktatu neulli'skiego, ograniczające suwerenność Bułgarii jako państwa pokonanego w wielkiej wojnie.

Deklaracja ta jest ważnym przyczynkiem do utrwalenia pokoju na Bałkanach, jest nadto niezwykle ciekawym zjawiskiem na tle ogólnej sytuacji międzynarodowej. W pierwszym rzędzie dowodzi, że państwa bałkańskie, niedwuznacznie zagrożone gospodarczo-politycznym apetytem Niemiec i Włoch, rywalizujących o przewagę wpływów w Europie Południowo - Wschodniej, oceniają to niebezpieczeństwo jako nadzwyczaj realne. Bułgaria, jedynie widząc los Austrii zdanej na przyjaźń Włoch, zwraca się zdecydowanie do systemu zbiorowej współpracy państw małych i średnich, starających się zabezpieczyć przed ekspansją mocarstw imperialistycznych. W okresie ogólnego bankructwa systemu zbiorowego bezpieczeństwa mamy więc odosobniony przykład żywotności tego systemu. Przykład, dowodzący, że to nie nowe formy zawiodły, lecz że dobrze pomyślane formy nie zostały nagół należycie zrozumiane i zastosowane.

Deklaracja z 31 lipca rb. jest w gruncie rzeczy logicznym następstwem paktu wieczystej przyjaźni, zawartego między Jugosławią i Bułgarią 24 stycznia 1937 r. Po zawarciu tego paktu pisaliśmy w Notatniku („Naród i Państwo" Nr. 5 r. 1937) co następuje: „Podpisanie paktu białogrodzkiego mogło się odbyć jedynie po uprzedniej zgodzie Rumunii i Grecji, uczestniczących z Jugosławią w Ententie Bałkańskiej, grupie państw, które zjednoczyły się m. in. w celu obrony przed rewizjonizmem Bułgarii. Zgoda Grecji i Rumunii na wieczysty pokój między Jugosławią — zobowiązaną do współdziałania z nimi na wypadek agresji lub ataków dyplomatycznych ze strony Bułgarii — a Bułgarią, nie może więc oznaczać niczego innego, jak to, że Bułgaria dała Jugosławii daleko idące zapewnienia co do pokojowych zamiarów w stosunku do swych sąsiadów, północnego i południowego, zarówno w sensie wojskowym, jak i dyplomatycznym. Zapewnienia takie mogą pociągnąć za sobą w przyszłości przystąpienie Bułgarii do Ententy Bałkańskiej i tym samym doprowadzić do ostatecznej konsolidacji stosunków politycznych w tej części Europy, która dotychczas była ośrodkiem nieustannych niepokojów". Oczywiście dziś, po deklaracji podpisanej 31 lipca w Atenach, szanse przystąpienia Bułgarii do Ententy Bałkańskiej są już bardzi wielkie. Słyszy się nawet opinie, że choć nie **de jure**, to zato **de facto** Bułgaria do Ententy Bałkańskiej przystąpiła.

Przypomnimy tutaj, jak prasa przeciwna systemom kolektywnym głosiła *urbi et orbi* po pakcie przyjaźni jugosłowiańsko - bułgarskim, że ma on oznaczać koniec Ententy Bałkańskiej, z której Jugosławia ma się wycofać; podobnie pisano odnośnie Małej Ententy. Jedno i drugie, głoszone pod znakiem „polityki realnej", było, jak dziś widzimy w odniesieniu do Ententy Bałkańskiej, wyczynem propagandy politycznej bardzo nierealnej. Dobrze by więc było, gdyby polityka realna postarała się również o realną propagandę prasową.

ERRATA.

W N-rze 27/28 w artykule p. t. „Kwestia żydowska w Polsce" (IV) dostrzeżone zostały następujące zniekształcenia i pomyłki:

str. 5, szpalta 1, wiersze od dołu 21 i następne, powinno być: „Dodajmy, że tego rodzaju ograniczenia lub pozbawienie praw obywatelskich *obcej* grupy obywateli",

str. 6, szpalta 1, wiersz 22 od góry, zamiast „*ustrój* kulturalny" powinno być „*rozwój* kulturalny",

str. 6, szpalta 1, wiersz 27 od góry, zamiast „w jej warunkach *gospodarczych*" powinno być: „w jej warunkach *geopolitycznych*".

NOTATNIK GOSPODARCZY

Niedopuszczalne metody

(aa) O metodach walki czynników prywatno - gospodarczych z wszelkimi przejawami gospodarki państwowej pisać można długo. Jednym z najbardziej popularnych chwytów jest uświadomienie „szerokich mas obywateli" o niskiej rentowności przedsiębiorstw państwowych, o nieudolności gospodarczej ich kierowników itd. itd. Do klasycznych już arcydzieł należy słynne zestawienie, w którym obok lasów państwowych, fabryk, kolei postawiono szpitale, wszelkiego rodzaju budowle publiczne itp. i od otrzymanej w ten sposób wartości całego majątku państwowego obliczono zyskowność, przy czym jako zysk przyjęto jedynie wpłaty przedsiębiorstw państwowych do skarbu. Oczywiście tak obliczona rentowność, obejmująca wiele instytucji z zasady nierentownych w pojęciu prywatno-gospodarczym, okazała się niezmiernie niska...

Gospodarka państwowa, a zwłaszcza nasz niemowlęcy a już potworkowaty etatyzm, posiadają wiele punktów słabych, które nietylko można, ale i należy odkrywać. Krytyka bowiem wychodzi jedynie na zdrowie. Trudno jednak się zgodzić z krytyką, która podnietę czerpie z nieskomplikowanej zasady — co etatystyczne, to źle gospodarowane, nieuzasadnione, szkodliwe. Wówczas bowiem tworzy się sztuczne konstrukcje, naciąga fakty, aby dowieść fikcyjnego założenia.

Te kilka słów piszemy à propos ogłoszonego w 64 nr. Polityki Gospodarczej artykułu na temat „Wspólnoty Interesów", w którym postawiono szereg ciężkich zarzutów w duchu wyżej wspomnianym, opierając się zdawałoby na tak wiarogodnych materiałach jak ogłoszony bilans „Wspólnoty" za r. 1937. Na podstawie jego analizy potrafił autor, podpisany literkami A. Z., wydedukować że „Wspólnota Interesów", widocznie odróżniając reklamę od praktyki handlowej — mimo nader częstego i gęstego powoływania się na odkrycia i eksploatację rud krajowych, głównie zakupywała i magazynowała rudy zagraniczne". Nie tylko moralna strona takiego postępowania, zdaniem p. A. Z., szwankowała, ale nadto „Wspólnota" w okresie baissy surowcowej naraziła się na wielkie straty, gdyż zapasy poczynione były nadmierne. Dalej kilka zarzutów popartych ścisłymi cyframi: majątek stały „Wspólnoty" zmniejszył się pomiędzy 1936 a 1937 r. o 8 milj. zł. Zmniejszyły się kapitały amortyzacyjne, natomiast silnie wzrosły zobowiązania krótkoterminowe szczególnie bankowe (o przeszło 6 milj. zł.) itd. itd. Wniosek: o gospodarce „Wspólnoty" musi p. A. Z. przemawiać „językiem wysoce krytycznym".

Zatrzymaliśmy się dłużej nad dowodami dostarczonymi przez autora, gdyż zdawałoby się nie mogą być one gołosłowne. Jednak i bilanse zawodzą, jeśli nie umie się ich czytać. Jak wynika bowiem z ogłoszonego sprostowania „Wspólnoty" p. A. Z. widocznie po raz pierwszy zajął się analizą bilansów i poprostu nie trafił na to, co która strona w bilansie oznacza. — Wartość bowiem majątku „Wspólnoty Interesów" w omawianym okresie wzrosła właśnie o 8 milj. zł., kapitały amortyzacyjne też się nie zmniejszyły, lecz wykazały przyrost w wysokości 17,2 milj. zł. Zobowiązania natomiast bankowe, ze zwiększenia których autor artykułu w „Polityce Gospodarczej" wysuwał tak ponure wnioski, zmalały o 5,4 milj. itd. Wszystko na odwrót. — „Wspólnota" poczyniła bowiem zapasy jedynie w granicach wyznaczonych przez plan produkcyjny i to przeważnie z rud krajowych, wśród których ryzyka wahania cen nie ma.

Kończąc, w ostatecznym wniosku trudno mi nie przemówić, podobnie jak p. A. Z., „językiem wysoce krytycznym". Nie o „Wspólnocie" jednak, lecz o „Polityce Gospodarczej", jej redaktorach i protektorach, którzy podobny artykuł zaakceptowali.

Podział surowców

(aa) Problem zapewnienia sobie rynków zbytu, tak do niedawna aktualny, ustąpił dziś na arenie światowej na plan dalszy wobec zagadnienia zdobycia źródeł surowcowych, nader nierównomiernie rozłożonych. Wydana niedawno we Włoszech książka Ugo Nanni: „La battaglia mondiale per le materie prime" (Milano 1938) zawiera szereg ciekawych cyfr dotyczących światowej produkcji surowców w chwili obecnej, przy czym dzieli ją na trzy grupy: produkcję t. zw. państw monopolistycznych, t. j. Imperium Brytyjskiego, Stanów Zjednoczonych, Francji i Rosji Sowieckiej (wraz z posiadłościami), produkcję państw niemonopolistycznych: Niemiec, Włoch i Japonii, wreszcie wytwórczość pozostałych krajów na świecie.

To podaną niżej zestawienie warto uzupełnić innym: Wielka Brytania, U. S. A., Z. S. R. R. i Francja, zajmują powierzchnię 14,6 milj. km² o ludności 350 milj. Posiadłości ich wynoszą 64 milj. km², w których zamieszkuje 609 mil. osób. Państwa niemonopolistyczne liczą 1,46 milj. km² powierzchni i 207 milj. obywateli, posiadają natomiast 5,3 milj. km² terytoriów kolonialnych, zamieszkałych przez 48 milj. ludności.

Dane powyższe są niezwykle ciekawe, nie tylko dzięki materiałowi cyfrowemu, którego dostarczają, lecz również dzięki układowi i niedwuznacznej tendencji, zawartej choćby w samym określeniu i podziale państw na monopolistychne i niemonopolistyczne, oraz we włączeniu do grupy pierwszej Z. S. R. R. Dać to może pewne efekty polityczne wśród włoskich czytelników, dla których książka jest przeznaczona, zniekształca jednak obraz rozdziału produkcji surowców. Na przykładzie powyższym widać wyraźnie próbę podmurowania głoszonych przez Włochy imperatywów politycznych swoistą „mistyką surowcową". Jest to charakterystyczny obraz budzenia nastrojów mas za pomocą obrazu krzywdy. Tym razem jednak indywidualna krzywda proletariusza zostaje zastąpiona przez krzywdę zbiorową narodu. Linię podziału, linię walki o materialny dobrobyt, przeprowadza się nie wewnątrz własnego państwa, lecz w płaszczyźnie międzynarodowej. Zjawisko niezwykle ciekawe, warto więc przyczynek do niego zanotować.

UDZIAŁ PROCENTOWY W PRODUKCJI SUROWCÓW

	Państwa Monop. %	Nie monopolist. %	Reszta %
Ropa naftowa	.67.30	0,24	32,64
Węgiel	72,64	16,87	10,49
Bawełna	75,29	0,02	24,69
Wełna	67,84	2,55	29,61
Żelazo	81,78	5,00	13,22
Ołów	64,86	6,41	28,73
Cynk	61,54	13,86	24,60
Benksyt	56,71	9,87	33,42
Fosforyty	69,31	5,81	24,88
Sole potasowe	28,00	62,73	9,27
Celuloza	47,28	14,77	37,95
Guma	62,00	—	38,00
Mangan	93,17	1,98	4,85
Nikiel	93,22	1,50	5,28
Chrom	65,23	0,50	34,27
Platyna	90,00	1,00	9,00
Srebro	30,00	4,00	66,00
Złoto	83,37	3,35	13,28

O NAS U OBCYCH

Polska nad Bałtykiem

Aktywność polskiej polityki zagranicznej nad Bałtykiem wzbudziła w Niemczech poważne zaniepokojenie. Prasa niemiecka — a w ślad na nią i gdańska — próbuje bagatelizować akcję polityczną Polski w krajach nadbałtyckich przez wykazywanie zawodności zamierzeń politycznych, kryjących się za wizytami polskiego ministra spraw zagranicznych.

Z pośród zabierających głos w tej sprawie pism niemieckich gdański „Vorposten" (nr. 177) występuje z sugestią, że min. Beckowi chodzi o stworzenie zespołu państw t. zw. „Trzeciej Europy" (1. wielkie państwa demokratyczne — Anglia i Francja; 2. państwa totalne — Niemcy i Włochy), obejmującej wszystkie państwa na linii Bałtyk — Morze Czarne, którym grożą te same niebezpieczeństwa i które z tego względu są zmuszone prowadzić analogiczną politykę. Pismo stwierdza, że powyższa koncepcja min. Becka nie da nigdy się zrealizować ze względu na ogólnie jakoby negatywną postawę w tej sprawie państw nadbałtyckich.

Zdaniem pisma, cała ostatnia działalność min. Becka ma na celu wzmocnienie prestiżu politycznego Polski, co miałoby miejsce w tym właśnie wypadku, gdyby zagadnienie „Trzeciej Europy" zaczęło się oblekać w szaty realne. Państwa nadbałtyckie jednak nie chcą się bliżej łączyć z Polską ze względu na to, że posiada ona większe i poważniejsze płaszczyzny tarć politycznych od tych właśnie państw. Pismo konkluduje ostatecznie, że efekt akcji polskiej polityki zagranicznej w rejonie nadbałtyckim wyraża się w pogłębieniu sympatii państw nadbałtyckich wobec Polski przy równoczesnym powstrzymaniu się kierowników polityki zagranicznej tych państw od brania na siebie zobowiązań.

*

Opinia angielska zaczyna wyrażać pogląd, że wizyty min. Becka w północno - wschodniej Europie pozostają przede wszystkim w związku ze zmienionym stosunkiem Polski do Ligi Narodów. Min. Beck zamierza — zdaniem np. *Manchester Guardian* (z 1.8) — jak najprędzej uwolnić Polskę od zobowiązań, wypływających z § 16 Paktu Ligi (sankcje) i stąd też wypływają jego usiłowania, zmierzające ku zbliżeniu Polski do państw neutralnych i odsunięcia jej od Ligi Narodów, którą uważa za instrument bloku państw demokratycznych. Min. Beck obawia się jakoby, że artykuł 16 Paktu może obciążyć Polskę daleko większymi — od wypływających z przymierzy — zobowiązaniami, co miałoby mieć miejsce przede wszystkim w wypadku pospieszenia przez Francję z pomocą napadniętej przez Niemców Czechosłowacji. § 16 Paktu mógłby poza tym odbić się ujemnie na polskiej polityce równowagi między Rosją a Niemcami.

B. ambasador francuski o Polakach

Na łamach drugiego zeszytu lipcowego „Revue des deux mondes" ukazał się obszerny artykuł pióra byłego ambasadora Francji w Warszawie — J. Laroche — poświęcony analizie nastawienia politycznego społeczeństwa polskiego. Najbardziej charakterystyczną cechą tego nastawienia jest — zdaniem autora — głęboki patriotyzm, poświadczony walkami o niezawisłość państwową w okresie niewoli oraz walką o utrzymania niepodległości po wskrzeszeniu Państwa. W chwili obecnej gorące przywiązanie do własnego państwa przejawia się przede wszystkim w idei obrony kraju, w gotowości do zbrojnego odparcia wszelkich ataków na jego całość.

Przy rozpatrywaniu wytycznych polskiej polityki zagranicznej autor artykułu stwierdza, że określają ją przede wszystkim warunki geograficzne, nie pozwalające Polsce na opowiedzenie się za żadnym z dwóch potężnych sąsiadów i zakreślające jej z tego względu ramy polityki defensywnej. Zdaniem autora tego rodzaju stan rzeczy sam przez się narzuca polityce polskiej konieczność bardzo ścisłego kontaktu z Francją. Sojusz polsko - francuski jest jednak oceniany raczej od strony jego przydatności w wypadku starcia zbrojnego z Niemcami, które stanowi równe dla obu państw niebezpieczeństwo. Fakt ten jednak nie przyczynił się dostatecznie do wzajemnego uzgodnienia wspólnej postawy obu krajów wobec powyższego niebezpieczeństwa.

Uwagi swoje kończy autor apelem do zgodnego zespolenia wysiłków na rzecz bezpieczeństwa obu krajów. Przez bliższe zapoznanie się z sobą — mówi on — oba narody zdolne będą do dokładnego określenia spraw, wymagających wspólnego wystąpienia. Podtrzymywanie więzów przyjaźni i zgodna kolaboracja obu narodów stanowić będzie trwały przyczynek działalności na rzecz utrwalenia pokoju.

Niemcy a sprawa ukraińska w Polsce

Dwutygodnik *„Ostland"*, organ Związku dla spraw Niemieckiego Wschodu *(Bund Deutscher Osten)* — wykazujący nie od dziś dla spraw polskich oraz dla spraw wschodu europejskiego duże zainteresowanie — omawia w jednym z ostatnich numerów (nr. 14) rolę spółdzielczości w życiu narodowym Ukraińców w Polsce.

Artykuł przynosi szereg interesujących danych cyfrowych, ilustrujących olbrzymi wzrost ukraińskiego ruchu spółdzielczego we wszystkich gałęziach życia gospodarczego. Jako przykład podaje tutaj autor artykułu sytuację w mleczarstwie, gdzie w r. 1926 dowieziono do mleczarń ukraińskich 10,9 miln. litrów mleka, a w 10 lat później — aż 90,6 miln. Te same mleczarnie przerobiły w r. 1926 370.000 kg masła, w r. 1936 — 3.400.000 kg.

Spółdzielczość ukraińska — pisze „Ostland" — objąwszy swym zasięgiem wielkie masy elementu ukraińskiego (na 1 spółdzielnię ukraińską przypada 1.200 — 1.600 ludności ukraińskiej, podczas gdy w województwie krakowskim na 1 spółdzielnię polską przypada 2.600 ludności, w woj. warszawskim — 3.500, w woj. łódzkim—5.200), uniezależniła prawie całkowicie ludność ukraińską od pośrednictwa żydowskiego w stosunkach handlowych wsi z rynkiem zbytu, jak i też od kapitału polskiego. Dzięki samodzielności i niezależności w działaniu oraz dzięki różnorodności form organizacyjnych spółdzielczość ukraińska przerodziła się pomału w ostoję narodowego życia ukraińskiego w Polsce. Ten „narodowy" charakter spółdzielczości przejawia się przede wszystkim w fakcie kierowania na teren spółdzielczości ukraińskiej inteligencji, która nie może dla siebie znaleźć miejsca w administracji państwowej czy samorządzie. W r. 1936 — przypomina „Ostland" — w spółdzielczości ukraińskiej było czynnych 12.400 osób, rekrutujących się w dużym stopniu z akademików i oficerów b. ukraińskich formacyj wojskowych. Element ten, osiadły niekiedy w najodleglejszych nawet zakątkach, uprawia poza swoją pracą zawodową działalność narodowo - kulturalną i aktywizuje element ukraiński, pozostający w zasięgu jego pracy zawodowej, tak politycznie, jak i gospodarczo. W ten sposób spółdzielczość ukraińska staje się poważnym czynnikiem w dziele odrodzenia narodowego ludności ukraińskiej.

Ostatnia część wywodów pisma jest poświęcona sprawom oświatowym, Między innymi „Ostland" omawia tutaj z nietajoną satysfakcją akcję społeczeństwa ukraińskiego przeciwko konsumowaniu napojów alkoholowych, pojmowaną — jak wiadomo — jako sui generis formę akcji przeciwko budżetowi państwowemu.

PRZEGLĄD PRASY

Dzień 6-go sierpnia

Dwudziesta czwarta rocznica wymarszu pierwszej kompanii kadrowej z Oleandrów krakowskich dała prasie polskiej asumpt do wypowiedzenia szeregu uwag na temat aktualnej wartości tego faktu, posiadającego nietyle historyczny, ile już symboliczny charakter.

Polska Zbrojna (nr. 215) określa dzień 6-go sierpnia 1914 roku jako dzień, który zapoczątkował w życiu Polski nowy rozdział dziejów, dzień, który zapoczątkował przede wszystkim nowego w Polsce człowieka.

Obok gotowości do walki i ofiary najdroższej choćby krwi — powiada pismo — Józef Piłsudski postawił przed Polską jeszcze drugie zadanie: wychowanie takiego społeczeństwa, które mogłoby swój stan posiadania utrzymać i rozwinąć należycie:

„Sprawa to znacznie trudniejsza, wymaga więcej oddania i wytrwałości, niż to, czego dokonaliśmy w krótkim stosunkowo siedmioleciu, w ogniu walki, między r. 1914 a r. 1921. Nasz narodowy charakter znacznie łatwiej zdobywa się na krótkotrwały, choćby nawet bardzo ciężki wysiłek, opromieniony za to blaskiem doraźnych rezultatów, niż na uparty, codzienny trud, pozbawiony glorii łopocących na wietrze sztandarów.

A przecież nie mamy innej drogi przed sobą, jak taki właśnie, uparty trud codzienny. Pomijając jakiekolwiek zakusy wroga, którym — to jest pewne — nie wahalibyśmy się nigdy najofiarniej przeciwstawić — musimy myśleć o tym, by ogień takiej ofiary nie zgasł przedwcześnie z braku nagromadzonych do walki środków. Nasze siły zbrojne muszą mieć na każde zawołanie wszystko, co im w ich pracy wojennej będzie potrzebne.

Ale musimy też pamiętać i o dniach pokoju. Ani na chwilę zapominać nam nie wolno o tym, że kraj nasz, mimo cały nasz wysiłek kończącego się w roku przyszłym ćwierćwiecza, nadążą ledwie w wyścigu cywilizacyjnym innych wielkich i małych narodów. Nie możemy zamykać oczu, krzepiąc się lekkomyślnym „jakoś to będzie", na to, iż z każdym rokiem przybywa dzieci polskich, że dzieci te od nas muszą otrzymać swój chleb, od nas — światło nauki, to my im musimy zapewnić warszaty pracy. Nie tylko; my, starsze pokolenie, jeśli chcemy, by młodzi niczego nie uronili z wielkiej, otrzymywanej do rąk spuścizny, musimy młodzież tę wychować, musimy zapewnić jej podstawę wszystkiego, urobić jej stalowy, nieugięty, nie znoszący żadnego sprzeciwu i nie lękający się żadnych gróźb charakter!"

Express Poranny (nr. 215) podkreśla w swoich wywodach wagę treści politycznej decyzji Piłsudskiego z 6.8 1914 roku:

„Nie był czyn Piłsudskiego desperackim odruchem pohańbionego honoru, lecz akcją, w której po raz pierwszy od czasu utraty niepodległości zjednoczył się heroizm z rozumem politycznym, bunt przeciw przemocy z właściwymi metodami odporu, wysiłek zbrojny z szerokim horyzontem społecznym.

I dlatego czas zarzucić romantyczne frazesy, gdy mówimy o czynie 6 sierpnia. Praca Piłsudskiego miała taki zasięg, taki praktyczny sens, że wcześniej czy później musiała doprowadzić Polskę do niepodległości.

Wielkość jej polega nie na tym, że dała wynik pozytywny, ten wynik jest tylko potwierdzeniem wielkości. Istota wielkości tkwi w dyspozycjach czynu Piłsudskiego, w tych najszlachetniejszych ziarnach rozumu i bohaterstwa, które nie mogły nie wzejść wspaniałym kwiatem wolności".

Polska Zachodnia (nr. 214) widzi w powyższej decyzji Piłsudskiego nowy miernik siły polskiej,wyrażający się w kadrach żołnierzy w mundurach polskich, ze znakiem orła polskiego na czele:

„Decyzja Józefa Piłsudskiego stworzyła nowy miernik siły. Wierzono przedtem, że siła — to walory duchowe i materialne, to polska szkoła i polska sztuka, to polska fabryka i polski warsztat rzemieślniczy i polska placówka handlowa.

Wszystko prawda i wszystko słuszne. Ale dopiero Piłsudski wskazał, że betonem, który spawa i w opokę przemienia te walory duchowe i materialne, jest siła zbrojna. Dopiero Piłsudski wysnuł naukę z doświadczeń historycznych, z faktu, że z chwilą, gdy Polska przedrozbiorowa zlekceważyła siłę zbrojną, stała się łupem państw ościennych.

Dopiero Piłsudski począł, stanąwszy na gruncie siły i jej wyraziciela: żołnierza kształtować w swym pokoleniu „inny typ człowieka". Kształtował go nie wśród ludzi, przeżartych już poglądami, jakie między r. 1863 a 1914 rozpanoszyły się w społeczeństwie, a polegały na oportuniźmie życiowym, dosycie materialnym, kompromisowości czy nawet ugodowości. Sięgnął do najmłodszego pokolenia: do młodzieży i tu szukał „innego typu człowieka". Tu go też znalazł. A znalazłszy „rzucił na szalę losów", dał w rękę karabin i skierował na pole walki".

A oto wreszcie uwagi *Dziennika Polskiego* (nr. 215) we Lwowie, nie pozbawione aktualnego sensu:

„Nowy typ człowieka", ukształtowany w szkole ideowej, szkole charakterów, szkole siły i czynu Piłsudskiego, napotkał „gotowe pojęcia, gotowe przesądy, gotowe formuły", spotkał się z „tłumem uprzedzeń i niechęci", miał do zwalczenia „opór otoczenia". Były wtedy, gdy już ustała walka z wrogami zewnętrznymi, przeszczepione z czasów niewoli, z ery przedwojennej, doktryny polityczne i społeczne, które po prostu nie rozumiały ideologii Piłsudskiego i zwierały się w najnierzeczniejszych kompromisach, by się tej ideologii przeciwstawić. Czyż pierwsza konstytucja, ta z marca 1921, nie była właśnie kompromisem doktrynerskim w imię „gotowych pojęć i gotowych formuł"? A odtąd przez kilkanaście lat czyż ten „tłum uprzedzeń i niechęci" nie zwierał się stale i zawsze, ilekroć trzeba było tworzyć w Polsce platformę jednolitego postępowania?

Toteż dzieje tych 20 lat, jakie upływają od chwili wskrzeszenia państwa, są zarazem dziejami walki ideologii Piłsudskiego z „gotowymi formułami", z „oporem otoczenia", z „tłumem uprzedzeń".

Walczył Piłsudski o to, póki żył — i walkę tę po Jego zgonie podjął Jego ideowy następca. Podjął ją w imię „zorganizowania woli ludzkiej", w imię wykrzesania w społeczeństwie poczucia „zorganizowanej, jednolicie kierowanej woli", dla której „pionem moralnym jest hasło obrony Polski", a środkiem, wiodącym do celu, jest „skupienie sił moralnych i twórczych w narodzie".

Kiedyż, jak nie dnia 6 sierpnia siła tej prawdy przemawia zarówno do tych, którzy uczestniczyli w kolumnie marszowej legionowo - peowiackiej, jak i do całego społeczeństwa?"

Nam się nie spieszy

Niemałą sensację polityczną wywołało ostatnio wystąpienie stołecznego konserwatywnego „Czasu" z artykułem p. t. „Wielcy murarze i wielki mur", propagującym pogodzenie się t. zw. obozu narodowego z piłsudczykami. Czołowy organ Stronnictwa Narodowego — *Warszawski Dziennik Narodowy* — odpowiedział na powyższą sugestię artykułem, zatytułowanym: „Nam się nie spieszy...", w którym na temat istoty terminu „obóz narodowy" czytamy co następuje:

„Jest to „ruch" a nie organizacja, jest to „obóz", a nie stronnictwo, tak samo jak nie są stronnictwami ruchy narodowe we Włoszech lub w Niemczech, mimo, że noszą nazwy — partito fascisto i nazional - sozialistische Partei. Z tego, na pozór nominalistycznego stanowiska wynikają bardzo daleko idące następstwa. Obóz narodowy nie pragnie władzy dla władzy samej, nie widzi początku w dojściu do niej przez układy, targi, kompromisy, podział stanowisk i posad i t. p. rzeczy, pospolite w życiu parlamentarnem... Obóz ten—posiadając ideologię i program — jest przeświadczony, że tylko taki rząd odpowie w Polsce interesom i dążeniom narodu, który się oprze na tej właśnie ideologii i na tym właśnie programie. Dlatego to z ideologii i programu zasadniczego żadne nie mogą być robione ustępstwa, dlatego nie nadają się te rzeczy do żadnych kompromisów.

Naród polski i różne w nim grupy polityczne muszą dojrzeć do właściwego i zgodnego ze współczesnym stanem Europy i z położeniem w Polsce pojmowania polityki narodowej, zanim istnieć będą warunki dla zorganizowania życia narodowego na innych niż to się dziś dzieje, podstawach".

Tego rodzaju ekskluzywne stanowisko zajmuje t. zw. „obóz narodowy" nie od dzisiaj, i stąd też odmowne potraktowanie oferty konserwatystów nie powinno było stanowić dla tych kół jakiegoś niespodziewanego zawodu.

Na ekskluzywność kół endeckich skarży się również — po nieprzyjętej przez nie ofercie współpracy politycznej — Stronnictwo Pracy. Żalom tym daje świeżo wyraz *Dziennik Bydgoski* (nr 175):

„Stronnictwo Narodowe łudzi się, jeżeli sądzi, — co zresztą głosi — że zdobędzie tyle posłuchu w narodzie, aby mogło nim rządzić.

Zgoła niepotrzebnie odżegnuje się Str. Narodowe od tego, że jest stronnictwem. Chce być czymś więcej. Czym to więcej może jeszcze w ogóle być, pytamy się?

Każda organizacja polityczna, która chce czynnie działać, może być tylko stronnictwem w dzisiejszym stadium cywilizacji. Stronnictwem stał się Obóz Wielkiej Polski, stronnictwem BBWR. Stronnictwem — hitleryzm, jak faszyzm.

Ale właśnie w tym, że rozmaite partie chcą być czymś więcej niż stronnictwem, leży całe niebezpieczeństwo takich partii dla spokojnego postępu cywilizacyjnego. Złem Stronnictwa Narodowego jest, że ono nawet taktycznie nie chce uznać obok siebie istnienia innych partii, które podobny program mają".

Zdaniem pisma stan rzeczy ułożyłby się jak należy z chwilą zawarcia sojuszu politycznego obu ugrupowań partyjnych. Ponieważ jednak i ta oferta została przez Stronnictwo Narodowe odrzucona, a co więcej niedoszli sojusznicy zostali posądzeni o masoństwo, nie pozostaje pismu nic innego, jak tylko wyrażać żal pod adresem nieczułego na oferty partnera

Rasizm i katolicyzm

Przemówienie Papieża Piusa XI z dnia 15.7 br. przeciw „wybujałemu nacjonalizmowi" oraz ogłoszone na dzień przedtem tezy rasizmu włoskiego nie mogły rzecz prosta pozostać bez rezonansu w Polsce, zwłaszcza w tych środowiskach, które uzurpują sobie prawo do reprezentowania nacjonalizmu w jedynie poprawnym wydaniu.

Z pośród zabierających w tej sprawie głos pism polskich na uwagę zasługują wywody *Kurjera Bydgoskiego* (nr 178), który analizę poszczególnych nacjonalizmów przeprowadza w taki oto sposób:

Nacjonalizm włoski, w oświetleniu faskim wydaniu, to religia krwi (rasy)), według niego krew niemiecka jest najszlachetniejszą krwią w świecie a człowiek nią obdarzony jest urodzonym panem świata. Największą troską i najwyższym celem Germanina jest utrzymać tę krew w czystości i dać jej należne prawa. Tego rodzaju nacjonalizm nie może pogodzić się w żaden sposób nie tylko z religią katolicką, ale nawet z żadną religią chrześcijańską w ogóle.

Nacjonalizm włoski w oświetleniu faszystowskim, jest umiarkowany. To nie nacjonalizm krwi, lecz nacjonalizm kultury, cywilizacji. Włosi jako najczystsi — w ich mniemaniu — przedstawiciele kultury romańskiej, są pod względem duchowym pierwszym narodem w świecie. Dorównać im może tylko ten naród, który na wzór Włochów przesiąknie ideałami starej cywilizacji grecko - rzymsko - chrześcijańskiej. Rzym był i będzie centrum świata, panem i wzorem, lecz w znaczeniu duchowym. Wszystkie wysiłki Włochów ku temu zmierzać mają, a osiągnąć to się da tylko w ustroju, opartym na autorytecie i hierarchii (ustroju faszystowskim).Czynników moralnych, religijnych w tej pracy się nie usuwa, lecz żąda się, by współdziałały one w dążeniu do wielkości Włoch. Ten nacjonalizm da się już pomieścić, choć czasem z biedą, w obrębie nauki katolickiej.

Wreszcie — nacjonalizm polski głosi: Wszystkie narody w założeniu są sobie równe i każdy z nich ma od Boga przydzieloną sobie szczytną, choć czasem odmienną misję. Wielkość duchowa narodu zależy od tego, o ile ten naród swoją misję dziejową wypełni. Chcemy, by Polska była jednym z pierwszych narodów w świecie, dlatego uświadomimy sobie, do czego nas Bóg przeznaczył — i wszystkie jego dary, udzielone nam, zużytkujemy w ten sposób, by wolę bożą co do nas jak najszczytniej wypełnić.

Krótko mówiąc: nacjonalizm niemiecki wynosi się ponad chrześcijaństwo, włoski chce iść z nim równolegle, nasz — podporządkowuje się chrześcijaństwu".

W analizie powyższej interpretuje pismo zasady nacjonalizmu włoskiego, popadając w wyraźną sprzeczność z tezami Papieża, który np. w odniesieniu do stosunku faszyzmu do Kościoła stwierdzał wyraźnie, że „pomiędzy pracą katolicką a partią faszystowską istnieją różnice doktrynalne nie do uleczenia"

Stosunek nacjonalizmu polskiego do rasizmu sprowadza się — zdaniem Kuriera Poznańskiego (nr 344) — wyłącznie i tylko do walki z żydowstwem:

„Szerzenie w Polsce rasizmu na modłę ideologii nordyckiej byłoby nonsensem szkodliwym. Pewne w tym kierunku próby natury teoretyczno - literackiej tłumaczyły się raczej nieporozumieniem i należą już do przeszłości.

Naród Polski — z powodu geograficznego położenia swego państwa, które było w toku dziejów atakowane z różnych stron, między innymi przez najazdy zarówno ludów o krwi nordyckiej, jak elementów pochodzenia wschodniego, — naród polski, powtarzamy, jest zespołem pod względem pierwiastków rasowych wybitnie mieszanym. Skonstruowanie wyraźnej „rasy polskiej" byłoby w tych warunkach przedsięwzięciem więcej, niż niewdzięcznym, ale — co gorsza — byłoby, jak już zaznaczyliśmy, robotą szkodliwą, albowiem nie scalającą ludności polskiej, lecz parcelującą ją według większego w danej okolicy czy mniejszego odsetka krwi nordyckiej...

..Jeżeli w Polsce pisało się czasami o polskim rasiźmie, miało się w rzeczywistości na myśli polski antysemityzm, który się nie zawsze pojmuje dobrze. Żeby racjonalnie uzasadnić potrzebę zmagania się żywiołu polskiego z żydowskim celem zrzucenia jego jarzma gospodarczego z wszystkimi konsekwencjami dla naszego politycznego i kulturalnego życia zbiorowego i indywidualnego, nie potrzebujemy i nie powinniśmy sięgać do teorii rasistowskiej w rzeczywistym jej znaczeniu, jak to czyni germański rasizm nordycki".

Wszystkie te wywody — jak nietrudno dostrzec — zręcznie omijają meritum antyrasistowskiego wystąpienia Papieża, który np. w odniesieniu do rasizmu stwierdzał, że z „punktu widzenia prawdy katolickiej istnieje tylko jedna rasa ludzka, a jest nią rodzaj ludzki".

Co jest ważniejsze

Nawiązując do prowadzonej jeszcze na łamach szeregu pism dyskusji na tematy masońskie, *Ilustrowany Kuryer Codzienny* (nr 215) zastanawia się nad pytaniem, co się to właściwie stało takiego, że właśnie w chwili obecnej zagadnienie masonerii w Polsce zarysowało się tak niesłychanie ostro? Zdaniem pisma możliwe są tu dwa przypuszczenia: 1) masoneria ujawniła w ostatnich miesiącach jakąś szczególnie wzmożoną działalność, 2) inne troski lub niebezpieczeństwa zmalały, tak że niema się co nad nimi zastanawiać.

Analizując stan rzeczy w odniesieniu do pierwszego z przytoczonych przypuszczeń, pismo dochodzi do wniosku następującego:

„Dla nas, obserwatorów życia publicznego, pierwsza ewentualność nie jest bynajmniej oczywista. Zarówno bowiem z rewelacyj prof. Kozłowskiego, b. premiera Rzeczypospolitej, jak z pośredniej odpowiedzi b. ministra Baranowskiego, jak wreszcie z deklaracji marszałka Walerego Sławka wynika, że w sferach miarodajnych zajmowano się od samego początku powstania państwa sprawami i wpływami masońskimi.

Z przebiegu polemiki wynika dalej, że zarzut przynależności do masonerii obciąża tak wielką liczbę wyższych urzędników dygnitarzy, iż nie sposób przypuścić, aby mogło to być dziełem kilku miesięcy ostatnich.

Jednym słowem: stwierdzamy, że choroba istnieje, ale nie widzimy bynajmniej, aby właśnie teraz choroba ta się zaostrzyła.

Dlatego mimowoli rodzi się podejrzenie, że ze sprawą masońską dzieje się to, co scharakteryzywaliśmy na wstępie, mówiąc o obcych agenturach. Poprostu używa się i nadużywa tego argumentu dla celów praktycznych, dla celów rozgrywek między różnymi grupami— rozgrywek raczej zakulisowych, które przygotowują jeszcze znacznie gorętsze walki i spory, przewidywane przez politycznych meteorologów na rok 1940.

Skoroby zaś podejrzenia takie były prawdziwe, to mielibyśmy do czynienia już nie z bezinteresowną walką o zasady, ale ze... sztuką stosowaną".

Pomyłka i jej źródło

Lwowski *Dziennik Polski* (nr. 214) omawia daleko idącą pomyłkę Romana Dmowskiego w zakresie przygotowania legendy o nadprodukcji inteligencji polskiej, legendy, której kłam zadaje dzisiejsza nasza rzeczywistość polska.

Pismo cytuje tutaj najistotniejsze miejsca na temat powyższy z wydanej przed 4 laty książki p. t. „Przewrót":

„Zagadnienie braku pracy rozpada się na dwie kwestie, różnego charakteru i różnej doniosłości.

Jedna — to kwestia bezrobotnych robotników przemysłowych...

Druga to wyrażająca się z natury rzeczy w nie tak imponujących cyfrach, ale za to o wiele bardziej skomplikowana kwestia inteligencji (i półinteligencji), której dotychczasowy ustrój gospodarczy i polityczny tak namnożył, a dla której miejsce w życiu z niesłychaną szybkością się kurczy.

Znaczna jej część jest już bezrobotną, bez porównania zaś większa część ma jeszcze dziś zajęcia i zarobki, czasami nawet robi kariery, ale te zajęcia w dzisiejszych warunkach są coraz mniej użyteczne i zyskowne, a często przy zyskowności nieużyteczne i czasami nawet bardzo szkodliwe. Nie trudno jest przewidzieć, że liczba tych zajęć szybko się będzie zmniejszała i szybko będzie rosła liczba inteligencji bezrobotnej, cierpiącej nędzę tym straszniejszą, że mającej potrzeby wyższe od ludności pracującej fizycznie.

Za wiele jest ludzi wykształconych.

Dziś, gdy budowa gospodarcza świata się załamała, gdy życie gospodarcze się redukuje, pola dla ludzi, umiejących robić nawet bardzo dobrze to, czego dotychczasowy ustrój od nich wymagał, szybko się kurczą i ludzie, niedawno jeszcze poszukiwani, stają się nieużytecznymi..."

Pismo tłumaczy te fantazje zgorzkniałej wielkości mylną i krótkowzroczną oceną zjawisk życia gospodarczego oraz niczem nie uzasadnioną wiarą w upadek cywilizacji zachodnio - europejskiej. Na pytanie, w czym tkwi źródło tego rodzaju proroctw, Dziennik Polski odpowiada:

„Pesymizm i złowróżebne proroctwa Dmowskiego mają swe źródło i w zimnym rachunku politycznym. Są mistrzowsko robioną propagandą dla wywołania nastroju beznadziejności, zwłaszcza wśród najmłodszych, którzy postawieni wobec tak tragicznej perspektywy będą się musieli rzucić do gardła tych, co posiadają i rządzą. Bo gdy się wszystko kurczy, to wypłynąć na powierzchnię życia można jedynie przez wzajemne wydzieranie sobie strzępów, przez brutalne odsuwanie szczęśliwych posiadaczy.

W tej zoologicznej moralności „Przewrotu", książki, z której świadomie lub nieświadomie czerpią natchnienie wszyscy entuzjaści „rewolucji narodowej" w Polsce, szukać należy źródeł naszego zacofania i naszej bezradności społeczno - gospodarczej w ciężkich latach kryzysu.

W tym rozbudzaniu przez Dmowskiego instynktu rozpaczliwej walki o byt, przejawił się z całą jaskrawością najskrajniejszy materializm dziewiętnastowieczny, spychający na bezdroża myśli i czynu odradzającą się twórczość narodową".

WŚRÓD KSIĄŻEK

Miscellanea slawistyczne. Prace Polskiego Towarzystwa dla Badań Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu pod redakcją prof. dra Wacława Lednickiego. Tom X. Kraków 1937. 8°. Str. 114 + 1 nlb.

Praca niniejsza stanowi zbiór drobnych studiów i przyczynków z dziedziny słowianoznawstwa. Większość z nich, a bodaj czy nie wszystkie, drukowane były uprzednio w „Przeglądzie Współczesnym", co niestety nigdzie w książce nie zostało zaznaczone.

Pod względem treści mamy tu szereg rozpraw historyczno-literackich, kilka artykułów informacyjnych na tematy naukowe i społeczno-kulturalne oraz kilka prac o charakterze recenzyjnym.

Spośród prac historyczno - literackich wymienić należy w pierwszym rzędzie znakomite studium prof. W. Klingera o Wernyhorze, następnie doskonałe charakterystyki Turgieniewa przez W. Fiszera oraz Bunina przez W. Chodaszewicza, ciekawą, aczkolwiek dosyć wycinkową, rozprawkę J. Pregesówny o estetyce Tołstoja w związku z jego sądami o Puszkinie, wreszcie dwa cenne przyczynki do badań nad stosunkiem Mickiewicza do Rosji: prof. S. Pigonia „Dramat dziejowy polsko - rosyjski w ujęciu Mickiewicza" oraz M. Czapskiej „Jeszcze o Odessie i towarzyszach podróży krymskiej Mickiewicza".

Temu samemu zagadnieniu, co praca p. Czapskiej, poświęcony jest ciekawy, ale już par excellence polemiczny artykuł dziennikarza rosyjskiego D. Fiłosofowa p. t. „Mickiewicz w Odessie i na Krymie (na marginesie dzieła prof. J. Kleinera o Mickiewiczu)". Wytykając polskim specjalistom od Mickiewicza zaniedbania w dziedzinie badań nad rosyjskim okresem w życiu wieszcza i karygodną na ogół ignorancję we współczesnych stosunkach rosyjskich, autor wypowiada wiele słusznych i ciekawych myśli na temat pobytu Mickiewicza w Rosji, osób, które go tam otaczały oraz nastroju, w jakim się poeta wówczas znajdował, niepotrzebnie jednak używa przy tym tonu mentorskiego, który obniża wartość jego naprawdę cennych wywodów.

Spośród artykułów informacyjnych na uwagę zasługuje zwłaszcza doskonale orientujący w zagadnieniu artykuł W. Piotrowicza o współczesnym stanie Cerkwi prawosławnej w ZSSR i na emigracji oraz wyczerpująca praca prof. D. Doroszenki o losach, dorobku naukowym i znaczeniu Ukraińskiej Akademii Nauk.

Bardzo cenne również są życiorysy naukowe znakomitego historyka ukraińskiego M. Hruszewskiego (pióra prof. W. Bidnowa) oraz jednego z najwybitniejszych językoznawców polskich K. Nitscha (pióra prof. T. Lehr-Spławińskiego).

Mało pożytecznym natomiast, aczkolwiek starannie opracowanym jest artykuł W. Dobrowolskiej o ideologii bibliotekarstwa w Rosji Sowieckiej. Po nader troskliwym, żeby nie powiedzieć znakomitym omówieniu wszystkich zalet ideologii bibliotekarstwa w Sowietach z uwzględnieniem wskazań Lenina i Stalina autorka pisze: „Wszystko, co tu powiedziano o bibliotekarstwie rosyjskim, jest to czysta teoria, wyczytana z propagandowych, programowych artykułów. Niewątpliwie teoria ta odbiega od praktyki, o której możnaby mówić tylko na podstawie osobistej autopsji stosunków kulturalnych w Rosji. W teorii tej jest dużo frazeologii rewolucyjnej, powtarzania częstego tych samych haseł ideowych. Pryncypializm rosyjski, wynikający ze specyficznego nastawienia się do życia — ustawicznego moralizowania i filozofowania na temat najprostszych nieraz spraw i rzeczy — przenika także całą ideologię bibliotekarstwa". Za te parę trzeźwych zdań gotowi bylibyśmy darować autorce całe niepotrzebne studium, gdyby nie uważała za stosowne zakończyć je następującą wiązanką superlatywów: „...bibliotekarstwo sowieckie posiada program i to konsekwentny, ma swoją zdecydowaną ideologię. *Ta ideologia wyniosła bibliotekarstwo sowieckie na wyżyny, nieosiągalne dotąd w żadnym z państw zachodniej Europy. Roli bibliotekarstwa rosyjskiego, przynajmniej teoretycznej, nie można porównać obecnie z rolą bibliotekarstwa w żadnym z państw europejskich, ani nawet Stanów Zjednoczonych w Ameryce,* bo tam jest ono niewątpliwie wspaniale rozbudowane pod względem technicznym, *lecz nie stawia sobie tak wielkich celów, jak w państwie Sowietów...* W każdym razie w stosunku do bibliotekarstwa w innych krajach... współczesne bibliotekarstwo rosyjskie jest chyba najpostępowsze na świecie"*). Z tak naiwnie pensjonarskimi poglądami polemizować zaiste trudno.

Treści książki dopełniają trzy prace o charakterze recenzyjno - polemicznym, mianowicie artykuł K. W. Zawodzińskiego o „Bylinach" J. Krzyżanowskiego oraz polemika Krzyżanowskiego z K. Wiskowatym na temat pracy tego ostatniego o jugosłowiańskiej epice ludowej.

Przechodząc do wniosków ogólnych, stwierdzić należy, iż „Miscellanea slawistyczne" stanowią zbiór nader ciekawy i pożyteczny, zawierający szereg studiów wysoce wartościowych, które bardzo słusznie wyratowane zostały od zapomnienia przez utonięcie w pismach periodycznych.

Godzi się podnieść również językowe oraz stylistyczne zalety książki, które mąci jedynie dosyć niedbała korekta.

K. L. Symonolewicz.

*) Podkreślenia nasze.

Marceli Handelsman: Historycy. Portrety i profile. Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1937. 8°. Str. 185 + 2 nlb.

„W zbiorze niniejszym — pisze autor w przedmowie — umieściłem charakterystyki dziewięciu historyków. Jedne dają pełny obraz ich działalności, inne ograniczają się tylko do oświetlenia niektórych stron ich twórczości. Stąd tytuł — portrety i profile.

...Do historyków ośmieliłem się zaliczyć także Marszałka. Nie tylko pisał dzieła historyczne, ale uważał siebie za historyka i przywiązywał do tej strony swej działalności dużą wagę".

Książka dzieli się na cztery cykle. Cykl pierwszy poświęcony historykom - pozytywistom zawiera charakterystyki Ernesta Świeżawskiego, Aleksandra Rembowskiego, Bolesława Limanowskiego i Michała Bobrzyńskiego. Cykl drugi p. t. „Wielki Romantyk" poświęcony jest twórczości historycznej Józefa Piłsudskiego. Cykl trzeci, zatytułowany „Młodzi", omawia działalność naukową Ignacego T. Baranowskiego i Wincentego Gorzyckiego — dwuch zdolnych historyków zgasłych młodo w pierwszych latach po wojnie. Cykl czwarty wreszcie zawiera portrety dwuch wybitnych „przyjaciół obcych" — Francuza Emila Bourgeois oraz Belga Henryka Pirenne.

Wszystkie szkice nacechowane są gruntowną znajomością przedmiotu, wnikliwością sądów badawczych oraz prawdziwie dziejopisarską bezstronnością.

W niektórych, jak np. w szkicach o Świeżawskim czy Gorzyckim, silniej zaznacza się uczuciowy stosunek autora do zmarłych przyjaciół, co nie przeszkadza zresztą bynajmniej obiektywnej ocenie ich twórczości.

Najobszerniej i najgłębiej ujęte są studia o Michale Bobrzyńskim, Pirenne'ie oraz Józefie Piłsudskim, jako historyku. To ostatnie daje właściwie więcej, niż obiecuje tytuł, gdyż, analizując stosunek Piłsudskiego do historii i jej wielkich postaci, wskazuje zarazem jedno z najsilniejszych źródeł inspiracji jego działalności i roli dziejowej.

Całość pracy wyróżnia się troską o poprawność językową i stylistyczną.

Książka ozdobiona jest portretami dziewięciu historyków, których twórczość omawia.

K. L. Symonolewicz.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.